



<http://rcin.org.pl>

WACŁAW GRABIAŃSKI.

[FEB]

WOJENNY BALONIK

(Bajki i nie-bajki).



1916.

SKŁADY GŁÓWNE: KRAKÓW, S. A. KRZYŻANOWSKI.
WARSZAWA, E. WENDE I S-KA. POZNAŃ, M. NIEMIERKIEWICZ.

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

WACŁAW GRABIAŃSKI.

[FEB]

WOJENNY BALONIK

(Bajki i nie-bajki).



INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-88-63, 25-52-31 w. 42

1916.

SKŁADY GŁÓWNE: KRAKÓW, S. A. KRZYŻANOWSKI.
WARSZAWA, E. WENDE I S-KA. POZNAŃ, M. NIEMIERKIEWICZ.

<http://rcin.org.pl>



Drukarnia „Sztuka“ w Krakowie, ul. Sobieskiego L. 16.

957
<http://rcin.org.pl>

Spis rzeczy.

Bajki.	Str.
W menażeryi	5
Dwie przyjaciółki	6
Dwa konie	7
Chleb... w rozpacz!	8
Zdeterminowana łyżeczka	9
Tragedya w kuchni	10
Zajęcza logika	12
Mydło i zupa	13
Babcia Europa, niegrzeczne dzieci i Ameryczka	13
Dzwon i Kościelny	14
Jak to lis wyszedł na „Święconem“ u ludzi	16
Wojna wśród zwierząt, osły i człowiek	17
Wilk, lis i armata	19
 Wiersze różne.	
Do kobiet!	22
Szczęśliwy naród	23
Na Olimpie	23
Fiasco misyi „pokojoyej“ Hermesa	24
Żołnierz do Kasi	25
Strategik do Kasi	26
Polityk do Kasi	27
Filozofia wojny	28
Trzech „wielkich“ i jeden „mały“	29
Przy asenterunku	31
Konieczna zmiana	31
Stare mody i „kobieta-strażak“	32

	Str.
Wojna — kinematograf	32
Zawzięła się...	33
Różne bywają sielanki	34
Tajemnica mogo wujka	36
Nowoczesny „Maraton“	36
Trudna nazwa	37
Trzech Budrysów rodzaju żeńskiego	39

Obrazki i migawki.

Doniosły wynalazek	42
„Dwie paczki tytoniu“	44
Dał się przekonać!	46
Z krakowskiego placu boju	48
Wykombinowała	49
Człowiek o słabo rozwiniętym zmysle rzeczywistości	51
„Rumun“	56
Sfałszowane papiery	59
Prezent na Wielkanoc	61
Także obrazek wojenny	65
Dziwne zwyczaje	69
Słuszna polityka	70
Placek z serem	73
Moja ciotka i... Nero	77
Na obu frontach (obrazek w 1 akcie)	82
Kiedy będzie koniec wojny?	95

BAJKI.

W menażeryi.

Dnia jednego w menażeryi
Lwy, tygrysy, małpy, osły,
Aby się zorganizować
Wielki szum i gwar podniosły.

Mimo przeszkód, mimo różne
Pośród zwierząt orientacye,
Lwy, tygrysy, małpy, osły
Stworzyły konsolidacyę.

Oświadczyły w rezolucyach,
Mowach, wnioskach i dodatkach,
Ze żyć trzeba z sobą w zgodzie.

Tak, zwierzęta dziś są w klatkach,
Lecz gdy będą na wolności —
Z gustem swe pogryzą kości!

Kraków, 29. kwietnia 1916 r.

Dwie przyjaciółki.

Dwie przyjaciółki żyły na świecie.
Była to parka zgodna, szczęśliwa.
Jakich niedużo w życiu znajdziecie:
Ewakuacja i ofenzywa.

Każda z nich była skromna, nieboga,
Dopóki pokój istniał na ziemi.
Lecz kiedy wojna wybuchła sroga
Dziwne się rzeczy zrobiły z niemi.

Pozapalały się żądzą dziką,
Często się z sobą kłóciły nawet.
Zamiast ustępstwa, wspólną taktyką
Dwóch przyjaciółek było „wet za wet“.

Ale stopniowo w wojny zapale
Ewakuacja silniejszą była,
Zaś ofenzywa malała stale.
(Gdzieś się podziała dawna jej siła!)

I dziś (nic na to nikt nie pomoże,
Choć każdy musi przyznać tu rację),
Że ofenzywa mała już może
Wywołać dużą ewakuację!

Dwa konie.

Dwa konie szły w zaprzęgu,
 Znosząc bat i trudy.
 Jeden był tłusty, silny,
 A zaś drugi — chudy.

„Coś ty wart jest?“ — chudego
 Tak się tłusty pyta —
 „Żebra sterczą ci z boków,
 Słabe masz kopyta!“

„Popatrz, jak ja wyglądam :
 Pełne sadła boki,
 Krok silny, kark potężny,
 Grzbiet, jak dąb szeroki!“

Chudy chciał odpowiedzieć;
 Lecz właśnie w tej chwili
 Doszedł gwar. Rekwizycję
 Wśród koni robili.

Chudy koń został w domu,
 Miał życie spokojne,
 No, a tłusty był... „tauglich“
 I poszedł na wojnę!

Chleb... w rozpacz!

Życie nie jest romanssem,
Więc rzadko się zdarza,
By chleb zadowolony
Był kiedy z piekarza,

Który go nie dopiecze,
Albo nie dosoli,
Miesi raz za gwałtownie,
To znów za powoli.

Każdy zawsze narzekał:
Chleb żytni, czy pszenny,
Lecz najbardziej się żali
Dzisiejszy: wojenny!

*

Surowy chleb w piekarni
Stękał biedaczysko,
Bo groźny piekarz stanął
Nad chlebową miską

I co chwila garść mąki
Kartoflanej ciska,
Jakgdyby to był worek,
A nie z chlebem miska.

Chleb sapał, stękał, jęczał,
Lecz nie mówił słowa,
Choć w misce — „kartoflanej“
Była już połowa. •

Wreszcie zniecierpliwiony
 Krzyknął do piekarza:
 „Indywidualności
 To mojej zagraża!”

„Teraz już wątpię (przecież
 Nie jestem prostakiem).
 Wątpię, czy będę wkońcu
 Chlebem, czy... ziemniakiem?”

Zdeterminowana łyżeczka.

W kawiarni kelner podał
 Na błyszczącej tacce
 To, co jest podawane
 Zwykle przy „herbatce“.

Nie było tylko cukru;
 Więc pyta łyżeczka:
 „Gdzie cukier?” Na to szklanka:
 „Nie widzisz woreczka?”

„Od dziś, mówił mi kelner,
 Będą cukier miałki
 Używać, bowiem wszystkie
 Zjedzono „kawałki!”

„Tak? — powiada łyżeczka —
 Żadna perspektywa
 Dla mnie i mych siostrzyczek
 Teraz się odkrywa!“

„Najpierw mieszałam cztery;
 Potem — trzy kawałki;
 Później — dwa, wkońcu — jeden;
 Dzisiaj — cukier miałki!“

„Chociaż służyłam ludziom
 Wiernie i wytrwale,
 Wiem, że będę im wkrótce
 Niepotrzebna wcale!“

Tragedya w kuchni
 czyli Niewielka pociecha.

Rondel, garnek i samowar
 (Zakazany to dziś towar)
 Przez kuchenny żywot cały
 Nigdy się nie rozstawały.

Kółko było to dobre,
 W całej kuchni dobrze znane,
 Lecz, jak wszystkie w świecie „garki“,
 Nie lubiało swej kucharki,
 Która ignorując kółko,
 Nie była mu przyjaciółką.

Raz, zwracając się do „garka“,
 Powiedziała zła kucharka:
 „Wasze kółko, tak dobrane,
 Będzie zarekwirowane!“

Garnek w płacz, aż mu polewa
 Łez potokiem się zalewa,
 Rondel też ma łzy na rzęsie,
 Samowarem febra trzęsie.

„O kuchenna, piękna półko!“
 (Tak dobrane mówi kółko)
 „Całe życie na twym grzbiecie
 Razem mieszkaliśmy przecie;
 A choć schodził który nieraz,
 Jednak wracał! No, a teraz?“

„Rozstaniemy się na wieki
 I pójdziemy w świat daleki,
 Każdy w inną, swoją stronę!
 Czemuż, czemuż tak sądzone?“

A kucharka, co przy blasze
 Gotowała właśnie kaszę,
 Usłyszawszy gorzkie żale
 Na kuchennej półce, wcale
 Się nie martwi i powiada:
 „Na to jednak trudna rada!“

„Martwić się nie warto wiele,
Zacni moi „przyjaciele!“
Tak znów straszne nie jest życie,
Bo choć z kuchni wychodzicie,
Może jeszcze się spotkacie
W... karabinie lub armacie!“

Zajęcza logika.

Młody zając starego
Zapytał raz w lesie:
„Jaki to huk potworny
Echo z pola niesie?“

„Mówiłeś mi już kiedyś
Na leśnej polanie,
Że ludzie urządzają
Na nas polowanie!“

Na to mu stary zając
Powiedział te słowa:
„To, co słyszysz, jest całkiem
Rzecz odmienna, nowa“.

„A że cię uspakajam,
Niech cię tak nie dziwi,
Bo to widzisz: *na siebie...*
Polują myśliwi!“

Mydło i zupa.

Talerzowi zupy
 Skarzyło się mydło,
 Że wojenne życie
 Całkiem mu już zbrzydło :

„Zupo ! Nic o nowym
 Nie wiesz wynalazku,
 Że będą robili
 Mydło teraz z piasku!“

A zupa : „No trudno !
 Będziesz, mój kolego,
 Z piasku, a ja bywam...
 Sama nie wiem z czego!“

Babcia Europa, niegrzeczne dzieci i Ameryczka.

Babcia Europa
 Bardzo się gniewała,
 Kiedy jej wnuczęta,
 Jej pociecha cała,

Wszczęły bijatykę.
 Dzieci tak się biły,
 Że je uspokoić
 Nie było wprost siły.

Widząc, że gromadka
Wnucząt wciąż się bije,
Powiedziała Babcia:
„Dzieci! rzućcie kije!”

„Fe, bić się! Spójrzycie
Na waszą siostrzyczkę
Z za oceanu: zgodną,
Grzeczną Ameryczkę!”

Na to jedno z dzieci,
Co śmielszej natury,
Rzekło, wymachując
Swym kijem do góry:

„Cóż, że Ameryczka
W zgodzie z nami żyje,
Ale, Babciu, ona
Nam dostarcza... kije!”

Dzwon i Kościelny.

Co dzień na kościelnej wieży
Słysząc było skargi dzwonu,
Który jęczał, że kościelny
Ciągnie go wprost „bez pardonu“.

Ignorancję tę przyjmował
 Całkiem seryo dzwon do serca.
 „Bum! bum!“ — grzmiało, co oznacza
 W gwarze dzwonów: „Ach, morderca!“

Lecz pewnego dnia kościelny
 Nie ukazał się na wieży,
 Bo zabrali go na wojnę.

· · · · ·
 Minął rok. Kościelny leży

Dawno już w strzeleckim rowie.
 „Bum! bum!“ — grzmią armaty wszędzie,
 Co oznacza w gwarze armat:
 „Z ludzi mięso wkrótce będzie!“

Wtem w potwornym armat ryku
 (Zadrzał na to nasz kościelny,
 Lecz go przecież słuch nie myli)
 Poznał dzwonu dźwięk oddzielny.

Tak, dzwon z wieży, który został
 Na armatę przetopiony,
 Jak wogóle wszystkie w państwie
 Małe, duże: dzwonki, dzwony,

Któremu po mnóstwie przygód
 Przeznaczyły teraz losy
 Na usługach być u wroga,
 Darł się wściekle wniebogłosy:

„Bum! bum!“ — co oznacza w gwarze
 Armat-dzwonów: „Mój kościelny!
 Dzielnieś ciągnął mnie na wieży,
 Bądźże teraz równie dzielny!“

Jak to lis wyszedł na „Święco-
 nem“ u ludzi.

Pewien lis w karpackim lesie,
 Pożegnawszy dzieci, żonę,
 Przyjaciela Misia — wybrał
 Się do ludzi na „Święcone“.

Szedł przez lasy, góry, drogi,
 Kryjąc się wśród polnych krzaków.
 Wkońcu ujrzał gród. Na bramie
 Napisane było: „Kraków“.

.

Gdy minęła już Wielkanoc,
 Zrozpaczona żona lisia,
 Że nie wraca mąż — zaczęła
 Kokietować nawet Misia.

Wreszcie wrócił lis do lasu,
 Łapy trzyma na żywocie.
 Zapytuje go Miś, żona:
 „Lisie! Może boli co cię?“

„O, tak! — jęcząc lis powiada —
 „Chory jestem, bardzo chory!
 Coś mnie kłuje, gniecie. Nie wiem,
 Czy dowlokę się do nory!“

A Miś na to: „Pewnoś musiał
 Żreć, jak bydlę, boś łakomy;
 Odwiedziłeś pewno wszystkie
 Znakomite w mieście domy!“

„Ba, żeby to, ba! — lis stęka —
 „Wiedziałbym przynajmniej wtedy
 Za co jestem chory, za co
 Nabawiłem się tej biedy!“

Ale dzisiaj wielka wojna,
 Dusze ludzkie pełne złości,
 A „Święcone“ wielkanocne
 Już należy... do przeszłości!

„I to właśnie mnie oburza,
 To powiększa moje troski,
 Że nie jadłem „Święconego“,
 Tylko zwykły... chleb krakowski!“

Wojna wśród zwierząt, osły i człowiek.

W pewnym lesie życie było
 Zgodne, ciche i spokojne,
 Aż jednego dnia zwierzęta
 Rozpoczęły z sobą wojnę.

Ryki, piski, wycia, jęki,
 Rozbrzmiewają w całym lesie;
 Silny drze słabemu skórę;
 Nic dziwnego, że ten drze się!

By zakończyć krwawe walki,
 A i samym wyjść z nich cało,
 Społeczeństwo osłów — ludzkiej
 Interwencji zażądało.

„Jakżeż można tolerować
 Taką rzecz w XX. wieku?“ —
 Mówią osły do człowieka —
 „Chodź! uspokój nas człowieku!“

Człowiek, który skończył właśnie
 Reparować łódź podwodną
 I oglądał Grubą Bertę,
 Tę zabawkę, dziś tak modną,

Rzekł do osłów: „Gdzie kultura?
 Gdzie jest postęp? Dość tej złości!
 Gryźć się? drapać? Przypomina
 Walki to w starożytności!“

Na to osły do człowieka:
 „Mówisz mądrze, niby rabin,
 Lecz co znaczy ta armata,
 Łódź podwodna, ten karabin?“

Wtedy człowiek: „Zrozum wreszcie
 Osłów bando, dzielna, bitna,
 Że dopiero kulturalną
 Jest dziś wojna... nowożytna!“

„Co? — wykrzyknął jeden z osłów —
 Tak wysoko się nie wzniosłem,
 By tak myśleć, to widocznie
 Trzeba więcej być niż osłem!“

„Słusznie! — mówi dalej człowiek —
 „Radzę więc: nie tracąc czasu
 Wróćcie się kochane osły
 Do walczących stron do lasu!“

„Ale najpierw kupcie u mnie
 Amunicyi, armat, broni,
 No, a wtedy, nikt na świecie
 Was w kulturze nie przegoni!“

Wilk, lis i armata.

Na skraju lasu,
 Gdzie rzeczka mała,
 Ot, jak na wojnie,
 Armata stała.

Jakkolwiek strzelać
 Jest bardzo mile,
 Dla odpoczynku
 Zmilkła na chwilę.

A zaś wilk z lisem
 W tym to momencie
 Ukazali się
 Na lasu skręcie.

„Co za armata!
 Patrz wilku bracie!“ —
 Zawołał, idąc
 Lis ku armacie.

A wilk: „Oj nie wiem,
 Co mnie tam czeka,
 Więc dla pewności
 Będę zdaleka!“

Lis na to: „Jakżeż
 Świat ten jest brzydki,
 Że tak ze strachu
 Drżą wilkom łydki!“

„O, tchórze wilku
 Popatrz, co zrobię:
 Na tej armacie
 Usiądę sobie!“

„Spryt i odwaga —
 To moja siła!
 Idę

...Armata
Wtem wystrzeliła.

Przypadł do ziemi
Nasz wilk niebogi,
Zaś lis odważny
Dalejże w nogi.

I buch! do lasu.
Dzielną ucieczkę
Wstrzymał dopiero,
Gdy minął rzeczkę.

Nazajutrz mówi
Wilk: „Lisie, błaga
Tak wychwalana
Twoja odwaga!”

„O, nie!” — lis rzecze —
„Tyś stchórzył bracie,
Gdyś padł i leżał
Drżąc przy armacie“.

„Lecz ja — wiedz o tem,
Odważny byłem —
Bo wszak armatnią
Kulę goniłem!”

WIERSZE RÓŻNE.

Do kobiet!

(Oda).

Kobieto, puchu marny! — za wielkim poetą
Powtórzę po raz setny — kobieto, kobieto!
Słabość Twojego rodu wszystkim mężom znana.
Płyniesz po fali życia, jak bańka mydlana,

Która chociaż tak piękna, barwna i błyszcząca —
Łudzi tylko. Twoja postać życie mężczyzn zmaça
Kokieteryą, grymasem, bezlitosnym gestem,
Tak! Antyfeministą zostałem i jestem.

Gdy w szeregach wojennych tłumy mężczyzn giną,
Ciebie bawią rozrywki: tenis, flirt, pianino,
Nie wiecie nic o wojnie Manie, Hale, Wandzie,
Żyjąc nadal spokojnie, równo w Hinterlandzie.

Kobieto, puchu marny! Minęły już czasy
Kiedyś była mi gwiazdą, miłosną podniętą,
Nie zwabisz mnie trucizną uroku i kraszy,
Jednak... jednak... no... chciałbym być dzisiaj...
[kobietą!...

Szczęśliwy naród.

Jest pewien naród, co w dzisiejszej wojnie
 Łez nie wylewa perlistym potokiem,
 Lecz patrzy w przyszłość lekko i spokojnie:
 Dzisiaj, jak jutro, jak patrzył przed rokiem.

Na skrzydłach handlu, zysku w przyszłość leci,
 Choć klęska spadła na inne narody
 I przy pomocy swych handlowych sieci
 Najgrubsze ryby z mętnej łowi wody.

Wie, że nie straci na tym interesie.
 Ba! Nawet dobry zysk w wojnie on widzi;
 Dochód wszak pewien: 100 procent już niesie.
 Narodem tym są... mieszkańcy wysp Fidži!

Na Olimpie.

(Legenda).

Dobry Jowisz na Olimpie,
 Ceniąc życia bieg spokojny,
 Dosyć miał kul, strzałów, armat,
 Jednem słowem: całej wojny.

Zawoławszy więc Francuza,
 Rosyanina i Anglika,
 Pyta: „O co się bijecie?
 Jaka wasza polityka?“

Francuz na to : „Chcę być panem
Kontynentu!“ Anglik srogi :
„Chcę panować w Europie!“

„A ty czegoś chcesz, mój drogi?“

„Ja?... Ja chciałbym — mówi Moskal,
Ale biedak wciąż utyka —
„Ja chcę.. Czegoś ja chcę? Ja chcę...
...Zresztą... spytaj się Anglika!“

Fiasco misji „pokojoyej“ Hermesa, (Legenda).

Jowiszowi, co się zdrzemnął
Na Olimpie — armat strzały,
Kul gwizdanie, bomb eksplozye
W błogiej drzemce przeszkadzały.

„Ej, Hermesie! — krzyknął Jowisz —
Pędź do mocarstw Europy,
Niechaj skończą raz tę wojnę!
Oto masz na drogę „hopy“!

Hermes uniósł kaduceus,
Spłynął w dół falistym lotem,
Lecz za chwilę zadyszany
I bez berła był z powrotem.

„No i jakże? — pyta Jowisz.
Hermes z płaczem mówi słowa:
„Wzięli... mi... mi... kaduceus,
Bo to rzecz... me... ta... ta... lowa!“

„Moje berło heroldowe
Za... re... re... kwi... ro... ro... wali!
Mówią: państwo potrzebuje
Podczas wojny me... ta... ta... li!“

Jowisz na to: „Przecież mogłeś
Go wykupić, miałeś szóstki!“

„Kiedy... mnie... mnie... nie puścili
Do... do... siebie... bez przepustki!“



Żołnierz... do Kasi.

Słodka Kasiu! Dziś ponawiam
Serca mego propozycye,
Bowiem jestem zachwycony,
Kiedym ujrzał Twą *pozycyę*.

Oczy Twoje, które mają
Tylu szczerých wielbicieli,
Zarzuciły mnie potokiem
Kul, granatów i szrapneli.

Chociaż z *drutu zasiekami*
Otoczone Twoje serce,
Muszę wciąż ku Tobie, Kasiu,
Iść w miłosnej *tyralierce*.

Niech usteczka Twe różane
 Niech serduszko Twoje powie,
 Czy chcesz ze mną, droga Kasiu,
 W jednym być *strzeleckim rowie*?

Ciebie jedną kocham Kasiu
 I upewniam, gdyby nie Ty,
 Nigdybym się nie odważył
 Iść tak śmiało *na bagnety*!

Strategik... do Kasi.

Ukochana moja Kasiu!
 Nieraz sam się sobie dziwię,
 Że ku Tobie zmierzam ostro
 W tak gwałtownej *ofenzywie*.

Lecz nie moja w tem jest wina,
 Że zostałem z Twojej strony
 Oczu błyskiem, ust uśmiechem
 Najformalniej *oskrzydłony*.

List ten niechaj będzie pieśnią —
 Twych niebiańskich wdzięków — barda,
 Jednocześnie mej miłości
 To wymowna *awangarda*.

Uczuć szczerych szczere słowa
 Scielę dzisiaj Ci pod stopy;
 Kiedyż Kasiu dobrowolnie
 Swoje poddasz mi *okopy*?

Bo w przeciwnym razie przecież
Szturmem będę musiał wziąć Cię,
 Wszak jedynym chcę zwycięzcą
 Być na Twoim, Kasiu, *froncie*!

Polityk... do Kasi.

Droga Kasiu! Proszę bardzo
 Porzuć wreszcie te ambicje.
 Chcę być wiernym sprzymierzeńcem
 I wejść z Tobą w *koalicję*.

Wprzód myślałem całkiem seryo
 Życ w samotnej separacyi;
 Dzięki Tobie zrozumiałem
 Sens podwójnej *orientacyi*.

Z chwilą, gdym Cię poznał, Kasiu,
 Dać nie mogę sobie rady.
 Aby zdobyć miłość Twoją
 Chciałem użyć aż... *blokady*.

Ale ceniąc zgodną drogę,
I serduszko Twoje złote,
Miał ostrego *ultimatum*
Piszę tylko skromną *notę*.

Jesteś moich snów początkiem,
I nadziejskich marzeń kresem.
Zgódź się Kasiu, by małżeńskim
Skończyć miłość tę *kongresem*.

Chcę mieć w Tobie — *pokojuwej*
Polityki kierowniczkę,
Lecz à conto... swej miłości
Zagraniczną daj *pożyczkę!*...

Filozofia wojny.

Gdy zawarczał bęben, huknął
Strzał, uderzył hufiec zbrojny,
Dochodziło wielu: „Jaką
Dziś jest filozofia wojny?”

Choć nie jestem filozofem,
Nie mam daru do „myślenia“
Lecz na wojnę mam swój pogląd,
Swoją specjalną kąć widzenia.

A więc: filozofia wojny
 „Materyalistyczną“ będzie,
 Bo materyał ludzi, broni,
 Amunicyi ma na względzie.

Lecz jest też „spekulatywną“,
 (W tem tkwi wielka jej osnowa)
 Wszak na wojnie to powstała
 ...Spekulacya żywnościowa!

Trzech „wielkich“ i jeden „mały“.

(Pod słuchane w niebie).

Napoleon w niebie
 Zawołał: „Cesarze,
 Aleksandrze! Chodźcie,
 Coś wam tu pokażę!“

Słyszając to wołanie,
 Wielcy wojownicy
 Zbiegli do „niebieskiej“
 Pospiesznie piwnicy,

Gdzie się „Mały Kapral“
 Wkradł i na nich woła,
 Przekupiwszy wprzód
 Za „piątkę“ anioła,

Mimo, że na ziemię
 Było zabronione
 Patrzyć, Napoleon
 Pokazał w tę stronę.

„Wojna! Ale jaka?” —
 „Wielcy“ zawołali,
 Widząc kłęby dymu
 I ognia w oddali:

„Myśmy w naszych czasach
 Bili się inaczej;
 Teraz spryt, odwaga,
 Siła — nic nie znaczy!”

„Wszystko zapomocą
 Dzieje się maszyny.
 Oj, sprofanowały
 Wojnę nasze syny!”

Wtem jakiś oficer,
 Co za pół korony
 Do „niebieskich“ piwnic
 Też został wpuszczony,

Rzekł: „Moi panowie!
 Przez metempsychozę
 Nieraz poznawałem
 Walk orężnych grozę,

I daję wam na to
Słowo oficera,
Ze się dziś i przedtem —
Taksamo umiera!“

Przy asenterunku.

Wojtek stanął przed komisją,
Niespokojnie wzrokiem goni,
Więc go pyta pan oficer:
„No, do jakiej chciałbyś broni“?

„Czy do armat, czy do gwerów“?
Na to Wojtek (sztuka lisia),
Odpowiada: „He... do Broni?...
Kiedy mojej jest... Marysia!“

Konieczna zmiana

Kto się rano, wieczór modli,
Nie zapomniał zwrotu tego,
Co w pacierzu się powtarza:
„Daj nam chleba *powszedniego!*“

Dzisiaj tekst ten można zmienić,
Mało tego! Zmienić trzeba!
Módlmy się gorąco, szczerze:
„*Poprzedniego* daj nam chleba!“

Stare „mody“ i „kobieta-strażak“.

(Szkic obyczajowo-kuchenny).

Jeszcze za czasów Piasta, Popiela
 U nas przyjęła się „moda“ taka,
 Ze w każdym domu każda kucharka
 Chociaż jednego miała strażaka.

Lecz jednocześnie w użycie weszła
 Od dawien dawna i druga „moda“,
 Ze pan całował swoją kucharkę,
 Zwłaszcza, gdy była ładna i młoda.

Zaś pani domu bezsilną była
 Wobec tradycyi, twardych jak skała,
 I wobec „mody“, że jej kucharka
 Zamiast gotować — romansowała.

Dziś, gdy ma służyć kobieta w straży
 (Bo niejednego braknie chłopaka)
 Kucharki zaczną lepiej gotować,
 A pan całować będzie... strażaka!

Wojna — kinematograf.

Co wspólnego z wojną
 Ma kinematograf,
 Nie wiedział historyk,
 Nie wiedział geograf.

Prawnik i polityk
 Napróżno się biedzą;
 Choć chcieliby wiedzieć,
 Lecz trudno: nie wiedzą.

Dopiero im żołnierz
 Rozwiązał tę matnię:
 „Tu i tam najlepsze
 Są miejsca ostatnie!“

Zawzięła się...

Magnifika pana Jana
 Do entente'y niechęć czuje
 I dlatego zjednoczeniu
 Temu wstręty okazuje.

Dnia jednego w uniesieniu,
 Energiczna ta niewiasta,
 Daje sobie święte słowo
Francuskiego nie jeść ciasta.

Chociaż zapas ma herbaty,
 Woli ponieść nawet stratę,
 Anizeli złamać słowo
 I *rosyjską* pić herbatę.

Uważając obce rzeczy
 Za hańbiącą dom obrazę,
 Drze *angielski* smoking męża
 I *japońską* tłucze wazę.

Wkońcu, choć pan Jan jest łysy
 (Gnębią go małżeńskie troski)
 W lot z łysiny mu wrywa
 Pozostałe jeszcze... włoski!

Różne bywają sielanki.

(Gawęda starego kawalera).

Słonko grzeje, wietrzyk wieje,
 Snuję znaną Wam legendę
 O sielankach. A wybaczcie
 Jeśli nudnym bardzo będę.

„Kiedy wiosna, z moją Ewą
 (Już nieboszczyk mawiał Adam)
 Ot, na błoniach lub na plantach,
 Szepcząc słodkie słówka — siadam!“

A że pradziad nasz uchodził
 Za miłosnych kwestyi znawcę,
 Więc też każda kochająca
 Parka siada... gdzie? na ławce!

Gdym przed wojną siadł na ławce
 Obok pani lub panienki,
 Podziwiając jej zewnętrzne
 I ukryte wdzięków wdzięki,

Wnet jak stado czarnych kruków
 Towarzysze moi mili:
 Nieznajomi i znajomi
 Konkurencyę mi robili.

Trudno było się opędzić,
 Chociaż byłem wtedy młody.

Jakżeż jednak zmienne w świecie
 Są zwyczaje, formy, mody.

Ot, dziś człowiek podczas wojny
 Postarzał się (każdy to wie)
 A miłosne zalecanki
 Już mi teraz nie są w głowie.

Ale kiedy... tak... przypadkiem
 Po obiadku albo kawce
 Siądę w parku lub na plantach
 Czy na błoniach... gdzie? na ławce.

Choć włos siwy skroń mi srebrzy,
 Wnet jak stado wron, srok, kawek
 Biegną panie i panienki
 Z okolicznych łąw i ławek.

Szepcą, śmieją się i wdzięczą;
 Myślę: „Zwaryowały chyba!”

Oj, prawdziwe to przysłowie:
 „Na bezrybiu i rak ryba!”

Tajemnica mego wujka

albo „Wojenne wędliny“.

Moja ciotka	Lecz serdelków
Miała kotka.	Zjadł sznur spory
Kotek bury	L... był chory.
Łapał szczury,	
No i myszy	Rzecz niezwykła
W nocnej ciszy.	Która wikła
	Dochodzenie
Mój wujaszek	I leczenie
(Nocny ptaszek)	Wujka mego,
Naprzeciwno	Ze dnia tego
Pijał piwko,	
Jadł klops wszelki	Rano jeszcze
I serdelki.	(Czuję dreszcze
	I rumieniec)
Raz do piwa,	Ulubieniec
Jak to bywa,	Moich ciotek
Nie karmelków,	...Zniknął kotek!

Nowoczesny „Maraton“.

W Atenach cisza... lud tłumnie się zbiera
 I królewskiego pyta się portyera,
 Co urzędowe mówią biuletyny,
 Czyli zwyciężą Grecyi dzielne syny?

Wtem z Maratonu posłannik przybiega,
 Dyszy... Lud ryknął: „Niechaj on nam powie,
 Czy laur zwycięstwa przywdzieją na skronie
 Mężny Milcyades i jego wodzowie?”

„Mów, mów! Czy perska druzgocąca stopa
 Na greckiej ziemi więcej nie postanie?”

.....
 Grek chwyta oddech, upada na ziemię,
 Skonał?.. nie!.. krzyknął: „Nowe powołanie!”

Trudna nazwa.

Może moi czytelnicy
 Rozwiązanie trafne dadzą,
 Jak nazywać te, co dzisiaj
 Elektryczny wóz prowadzą?

Konduktora zastępuje
 Dziś w tramwaju konduktorka,
 Lecz nie można wszak powiedzieć:
 „Jaka ładna to motorka!”

Albo kiedy zobaczymy
 Tramwajową kierowniczkę,
 Jakżeż skleić takie zdanie:
 „Widzę ładną motorniczkę!”

Nie są dobre w tym wypadku
Również inne znane słowa,
Bo nie można zastosować:
„Jaka ładna motorowa!“

Motorowa bowiem może
Być łódź, winda, albo brona,
Ostatecznie taką nazwę
Ma motorowego... żona.

W nazw szeregu, które tutaj
Dla przykładu się wylicza,
Niemożliwą się wydaje
Inna nazwa: ...motornicza.

Wreszcie ta, co słucha bacznie
Koleżanki swojej gwizdka,
W żaden sposób się nie zgodzi,
By ją nazwać ...motorzystka.

Ja, gdy widzę, że w tramwaju
Z przodu miga się sukienka,
Mówię wprost, gdyż nie znam nazwy:
Pani, panna lub... panienka!...

Trzech Budrysów rodzaju żeńskiego.

(Ballada).

Mama-wdowa, trzy swoje
Córki, piękne dziewoje,
Na dziedziniec zwoławszy, powiada:
„Dziś na mężczyzn posucha.
A więc każda niech słuha,
Jaka matki przestroga i rada!“

„Córki moje kochane
Wszakże to jest wam znane,
Że żyjemy pod znakiem oręża.
Krwawa wojna nad światem.
Wszędzie walka, a zatem
Sztuki trzeba, by znaleźć dziś męża!“

„Przeto idźcie me córki
Za las, rzeki, pagórki;
W świat was posłać dziś muszę, niestety!
A jak szuka się męża,
Jak się mężczyzn zwycięża —
Powie wam to... natura kobiety!“

W świat więc poszły dziewoje,
Wprzód kapelusz i stroje
Do kuferków zabrawszy swych nowych.
Matka w domu została,
Część mieszkania oddała
Na kwatery dla panów wojskowych.

Przeszło kilka miesięcy,
Może nawet i więcej;
Mówi mamie pewnego dnia stróżka:
„Powróciła panienka,
Ale jaka sukienka
Na niej?... Przecież to sanitaryuszka!”

Dnia innego znów w maju
Druga córka w tramwaju
Wraca też, a w mundurze jest cała.
„Córko! jak się odziewasz?”
A ta rzecz, ponieważ
Konduktorką w tramwajach została.

Wreszcie do dom przybywa
Trzecia z cór urodziwa.
Matka mówi: „Ty wieziesz mi zięcia!”
Na to córka powiada:
„Pewność matko nie rada,
Że na poczcie szukałam zajęcia!”

„Pójdę w życie już sama!”
Wtedy rzecz tak mama:
„Przedtem żyliśmy w domu we cztery.
Gdyście w świat wyjechały
Dom, dziedziniec, sad cały
Na wojskowe oddałam kwatery”.

„Mieszkał jeden wojskowy,
Człek stateczny, nie nowy :
Wzrok marsowy, głos silny, wąs długi.
Córki na się spojrzały
I razem zawołały :
Wyszłaś za mąż więc matko raz drugi!“

.....

Chociaż każda ballada
Krztynę prawdy posiada,
A już żadna ballada nie kłamie,
Jednak wierzcie mi Zosie,
Nele, Niny, Małgosie :
„Łatwiej za mąż wyjść pannie, niż
[mamie!“

OBRAZKI I MIGAWKI.

Doniosły wynalazek.

(Fantazyja aprowizacyjna).

Mój wujaszek, który ukończył dwa uniwersytety i politechnikę, był człowiekiem niepospolitym. Powiem odrazu, że mój wujaszek zajmował się wynalazkami. Jeszcze jako student rozwiązywał „kwadraturę koła“, później budował „perpetum mobile“, które, dzięki mojemu wujaszekowi... nie zostało rozwiązane.

Gdy wybuchła wojna, mój wujaszek powiedział:
— Prędko się to nie skończy! przyjdą czasy, gdy braknie najniezbędniejszych produktów spożywczych. Należy już dzisiaj szukać środków zaradczych na głód! — i wujaszek mój zamknął się w swych laboratoryach i gabinetach fizycznych, zapominając, że jest wojna na świecie (o wojsko nie bał się, miał już bowiem siedemdziesiątkę!).

Mijały szybko dni, tygodnie, miesiące; minął wreszcie rok, minął drugi, zaczął się trzeci a mój wujaszek, zatopiony we wzorach i równaniach chemicznych, gotował, przelewał, mieszał w próbkach i retortach.

Pewnego dnia usłyszałem hałas na schodach. Wkrótce na progu mego mieszkania ukazał się wujaszek z rozwianym włosom, z rozpaloną twarzą, trzymając w ręku mały worek.

— Mam, mam!... nareszcie znalazłem.

— Cóż wujaszek ma?

— Wynalazłem, mój synu! — mówił jednym tchem — wynalazłem sposób, zapomocą którego z owsa można otrzymać ryż!

Mimo wielkiego szacunku, jaki żywiłem dla mego wujaszka, parsknąłem śmiechem.

— O tak! Wszystkie wynalazki przyjmują ludzie śmiechem. Ale to nic! patrz oto masz próbki tu w tym oto worku.

Wujaszek był rozpromieniony. Biegał po mieszkaniu jak dwudziestoletni młodzik, potrząsając workiem.

— Nie będzie drożyzny, nie będzie głodu! Wiedza ludzka wszystko potrafi!

Przyglądałem się osłupiały tej scenie.

— I ty na to nic! nie wieszujesz mi?

Chciałem właśnie poprosić, żeby wujaszek odpoczął, bo musi być przepracowany (w istocie obawiałem się o stan jego umysłu), gdy wtem zatrzymał się na środku pokoju, twarz jego wy-

krzywiła się w tak bezgranicznym bólu, jakgdyby mu jednocześnie szczepili ospę na obu rękach. Wypuszczony worek bezwładnie upadł na ziemię...

— Wujaszku... co takiego?

— Na nic, na nic... cały wynalazek!

— Ależ dlaczego? — uspakajałem wbrew własnemu przekonaniu.

— Na nic... na nic...

— Wujku, dlaczego?

— Cóż z tego, że potrafimy uzyskać ryż z owsa, ale skąd będziemy dzisiaj brali... owies?

„Dwie paczki tytoniu“.

Mój przyjaciel Lutek był „zawodowym“ palaczem.

— Musisz mi pomóc! — usłyszałem jego głos na ulicy. — W Krakowie jest znów tytoń, trzeba więc robić zapasy, a ponieważ w sklepach sprzedają tylko po dwie paczki na osobę, więc kup mi proszę dwie paczki!

Weszliśmy do trafiki. Gdybym był śledziem, przypuszczałbym, że znajduję się w beczce ze śledziami, panował tu tłok, ścisk niemożliwy.

— Kup pan, albo nie kup, ale się wynoś; innym dać miejsce! — odezwał się głos z boku.

— Brać paczkę i... na ulicę! — zachęcała panna z gatunku „sklepowych“.

— Zawezwę policję, gdy „będziecie“ się tłoczyli! — zakończył właściciel trafiki, zawsze grzeszny i uprzejmy dla publiczności.

Upłynęło dobre pół godziny, zanim wydosłaliśmy się z Lutkiem na ulicę, posiadając cztery paczki.

— Doskonale! — cieszył się Lutek. Czwarty raz niosę dziś do domu porcję tytoniu. Będzie co palić! ale *à propos!* może zajdziesz do nas na herbatkę?

— Nie mam zwyczaju odmawiać w takich wypadkach...

W mieszkaniu zastaliśmy wuja Teodora.

— Lutku! wiem, że lubisz palić, więc przyniosłem ci dwie paczki tytoniu! — mówił wuj Teodor.

— I ja też kupiłam ci dwie paczki! — zawołała pani Stefania, która weszła w tej chwili do pokoju.

— Dziękuję, dziękuję! Rano — 6, teraz obaj kupiliśmy 4, wuj — 2, Stefa — 2, razem więc 14 paczek.

— A moje dwie paczki! — odezwała się skromnie Różia, stojąc we drzwiach od kuchni.

— Jakto i ty też kupiłaś? Razem 16 paczek! No, no, pamiętacie o mnie, że jestem wielkim amatorem palenia! A teraz Stefa przygotuj nam herbatkę, przynajmniej „wojenną“: chleb, masło i „coś“ z obiadu!

— Właśnie chciałam powiedzieć, proszę pani,

że nie kupiłam dziś chleba, bo zmarnowałam trzy godziny w trafice przy tytoniu. Później piekarnie były już wysprzedane!

— Ładna rzecz! Ja też nie kupiłam, szukałam tytoniu dla Lutka! — dodała pani Stefania.

— Toście się spisały!... Ha, trudno! Różia pójdzie do Rokickich na II piętro i pożyczycy do jutra bochenek chleba! — zdecydował poirytowany Lutek.

Różia pobiegła na drugie piętro.

Siedliśmy do stołu i wzięliśmy się do „czegoś” z obiadu, czekając na chleb.

Z kuchni doszedł szmer. Różia była z powrotem.

— Państwo Rokiccy przepraszają bardzo, jednak chleba u nich zabrakło! Ale pan Rokicki kazał powiedzieć, że ponieważ nasz pan jest „zawodowym” palaczem, a tytoniu może znów zabraknąć, więc przysyła naszemu panu... dwie paczki tytoniu!...

Dał się przekonać!

Pan dyrektor na emeryturze należał do przeciwników kart chlebowych.

— Też pomysł?... Karty na chleb! Jakto? Kobieta, która ma dziecko przy piersi, dostaje dwie karty, a ja... ja, że nie mam dziecka przy

piersi, dostaję jedną? To niesprawiedliwość! I wogóle cała idea? Ten je przecież więcej, a ten mniej. Też pomysł?!...

Pan dyrektor na emeryturze przy każdym ze mną widzeniu się nie omieszkał okazać swojego wrogię stanowiska wobec kart.

— Sługa!

— Sługa pana dyrektora!

— Zrozumiałem, zrozumiałem całą korzyść! — zaczął pan dyrektor na emeryturze.

— Jaką korzyść?

— No, kart chlebowych!

Twarz moja wyrażała zapewne w tej chwili wielki znak zapytania.

— Czy mnie słuch nie myli?

— Zrozumiałem ich doniosłość społeczno-gospodarczą właściwie dzisiaj, w tak ciężkich czasach. W zasadzie wszyscy powinni dostawać równe ilości... Równość, równość przede wszystkim! Zgadzam się z ideą kart... po zastanowieniu się i logicznem wyrozumowaniu, każdy musi dojść do podobnego wniosku!

Rozstaliśmy się z dyrektorem.

Wieczorem tegoż dnia dowiedziałem się, że dyrektor na emeryturze otrzymał posadę, o którą starał się od szeregu miesięcy, posadę w... biurze rozdawnictwa kart chlebowych!

Z krakowskiego placu boju.

Tak, z krakowskiego, bo do licznych placów boju na terenie Europy zaliczyć również należy rynek krakowski, a właściwie linię A—B, na której codziennie gromadzą się tłumy, walczące... o tytoń. Jeżeli walka o tytoń nie jest tak niebezpieczną jak walka o życie, to pod względem gwałtowności i śmiałości ataków — tej drugiej bynajmniej nie ustępuje.

Od wczesnego ranka na linii A—B, poczęły koncentrować się siły nieprzyjacielskie, napływające ze wszystkich stron; od ulicy Sławkowskiej, Floryańskiej i Sukiennic nadciągały liczne kolumny w energicznej ofensywie. Nieprzyjaciel skierował ogień na przyczółek mostowy głównej trafikii krakowskiej. Przy sklepie Fischera z jednej strony i cukierni Maurizia z drugiej sformowała się linia bojowa. Oba jej skrzydła postępowały ku środkowi; nieprzyjaciel jednak nie okopał się ze względu na to, że bruk i trotuary krakowskie są twarde jak skała (oczywiście za wyjątkiem chodników asfaltowych na plantach, które rozpuszczają się pod wpływem słońca, jak czekolada).

— Dawać tytoń! cygar! papierosów! — padały bez przerwy gęste strzały.

Tłum dobijał się do trafikii. Ponad głowami majestatycznie krążył aeroplan; był to kapelusz jednego z „nieszczęśliwych palaczy“, który wy-

machiwał nim z nadmiaru irytacji. Kilku zapalczywych zakłęło w złości:

— Psia...! — Jednak w odpowiedzi na te ręczne granaty, pozycye z tamtej strony milczały.

Zawrzało. Atmosfera stawała się duszną, denerwującą. Ku górze poczęły unosić się tumany gazów trujących w postaci westchnień... — oh, ah, ha!... albo fu... Kolumny ruszyły do ataku na bagnety... Zadrzały szyby, zatrzeszczały drzwi...

Tego dnia komunikat z krakowskiego placu boju brzmiał: Śmiałym atakiem zdobyliśmy nieprzyjacielskie okopy trafiki. Wróg pierzchnął. Wzięliśmy do niewoli wielu jeńców, jednak nie zdobyliśmy ani jednej... paczki tytoniu!

Wykombinowała.

— Stało wyraźnie w gazecie! Czytałem na własne oczy!

— Więc nie dostanę?

— Kto nie zaszczepi — ten nie dostanie!

— A wy już?

— Ano już. Wolałem sam pójść; niech raz zrobią i niech dadzą człowiekowi spokój.

— To wy chleb dostaniecie?

— Tak stało w gazecie!

— A ja?

— Teraz — też, ale później — nikt nie dostanie, kto nie będzie miał zaszczepione!

— Pójdę Mateuszu, niech zaszczepią! — zakończyła Wojciechowa.

* * *

Lewa ręka! o tak! Wyżej rękaw! — mówił młody medyk do wystraszonej Wojciechowej, która poddawała się „niebezpiecznej“ operacji.

— Panie... Będzie to boleć?

— Nie, nie... trzymajcie wyżej rękę!

— Czekaście... zaraz... no już skończone. Siadźcie tam, żeby wyszło.

Wojciechowa ciężko westchnęła i siadła w długim szeregu pacjentów na ławce pod ścianą.

— Nie bardzo boli — myślała — zupełnie jakby pchła ugryzła... tylko wygląda paskudnie. Ale nic — będę miała za to chleb. To ci prawa!... podrapiają łapę i dopiero chleb dają!

Wojciechowa przyglądała się szczepieniu innych, ale myśl jej pracowała bezustanku, wnikając w trudną bądź co bądź kwestyę zależności chleba od szczepienia. Wojciechowa snuła zawiłą linię rozumowań i dociekań, wreszcie twarz jej o ile przedtem wyrażała przestרח i męczący niepokój, teraz stopniowo nabierała wyrazu świadomej pewności, a poniekąd zadowolenia, świadcząc wymownie, że jej właścicielka dochodziła do pozytywnych rezultatów myślenia.

Słodka zaduma Wojciechowej przerwana została słowami medyka :

— Już wyszło, można zakryć!

Wojciechowa powstała. Ludzie, już zaszczepieni, wychodzili bocznymi drzwiami, lecz Wojciechowa zamiast iść za innymi, zatrzymała się w grupie, jeszcze nieszczepionych.

Szczepienie odbywało się z błyskawiczną szybkością. Wkrótce Wojciechowa z obnażoną prawą ręką stanęła przed medykiem.

— Wyżej rękę, o tak!... Ale, ale, wyście już zaszczepieni przed chwilą!

— Kiedy, proszę łaski pana...

— No?

— Bo tak chleba dziś mało, więc chciałam więcej dostać. Niech ta już pan z łaski swojej i drugą rękę zaszczepi.

Człowiek o słabo rozwiniętym zmyśle rzeczywistości.

W pokoju odezwało się sapanie, ziewnięcie, potem niewyraźne zakłęcie i... malarz, którego praca pod tytułem: „Żaba czyli rzeczywistość“, nie została nagrodzoną, otworzył lewe oko; prawe znajdowało się jeszcze w półśnie.

— A... a...! -- zabrzmiało już całkiem wyraźnie — a... a... — i malarz się przebudził.

W pomieszczeniu, o tyle przypominającym pokój, że były tam cztery ściany, sufit i podłoga, na sprzęcie, o tyle przypominającym łóżko, że można było na nim leżeć, spoczywała postać o tyle przypominająca człowieka, że po przebudzeniu się wydała z siebie rozspanym głosem słowo:

— Wiosna!...

Przez okienko wpadał złocisty snop światła, pokrywając „umeblowany“ pokój, jak również samego właściciela pokoju jasnymi plamami.

— Mamy wiosnę!... taaak... wiosnę! — mówił malarz, spoglądając w okno, w którym zamiast firanek wisiała część garderoby, najbardziej imitująca firanki.

— Lokaj! podać panu ubranie! — odezwał się malarz, wyciągając prawą rękę w kierunku stołka, lewą zaś w stronę okna ku malowniczo rozwieszonym „firankom“.

— Lokaj! podać panu śniadanie! — dysponował dalej, nalewając z rozbitego dzbanka wodę do naczynia, służącego jednocześnie jako szklanka i miseczka do golenia.

— Lokaj, do kroćset! zawołać panu automobil! pan pojedzie na Błonia oglądać wiosnę! — i malarz schwyciwszy płaszcz, który pamiętał jeszcze epokę napoleońską, wybiegł na ulicę.

— Ha... ha... słońce! Promieniste! tęczowo-kryształowe strumienie spływają na moją duszę znękaną, gdy widzę moc i siłę twórczą zbliżającej

się wiosny! Dusza moja... wyje z radości!...
 Życ, żyć!...

Malarz obracał się na miejscu, wchłaniając w suchotnicze piersi świeże i jasne blaski wiosny. Wzrok jego zatrzymał się na wystawie sklepowej, gdzie uśmiechał się do przechodniów rumiany bochenek chleba. Malarz przypomniał sobie o śniadaniu.

— Lokaj! pan chce jeść! — i malarz przestąpił próg sklepu.

— Proszę ten bochenek chleba!

— A karta jest?

Malarz z uśmiechem, którego słodycz można by przyrównać do herbaty z czterema kawałkami cukru, zapytał:

— Czy bez karty nie można, proszę pani?

— Nie, panie!

Z ocukrzonej herbaty zrobiła się esencja, gorzka jak piołun, malarz trzasnął drzwiami i wyskoczył na ulicę.

— Karta! fi!... tu wiosna... światło, a ona wyjeżdża z kartą! Głupia!

Przed domem tłoczyła się grupa ludzi.

— Co to? — zapytał malarz.

— Spis mężczyzn!

Malarz uprzytomnił sobie w tej chwili, że oprócz tego, że jest malarzem, jest również mężczyzną, więc zwracając się do jednego z panów, poprosił:

— Niech pan będzie łaskaw i mnie tam za-

pisze! Nie mam czasu, spieszę... na Błonia oglądać... wiosnę!...

Kilkadziesiąt par oczu spojrzało na malarza ze zdziwieniem.

— Tu trzeba osobiście!

— I trzeba mieć ospę szczepioną! — dorzucił ktoś żartem.

— Nie, nie... nie mam czasu! Niech pan i ospę za mnie zaszczepi!

Tłum ryknął śmiechem, a malarz popędził w stronę Wolskiej.

— Wiosna! wiosna! — powtarzał.

— Jeść, jeść! — akompaniował żołądek

Malarz — korzystając z okoliczności, że nie wprowadzono jeszcze kart cukrowych — kupił w budce na rogu „słodocy“ za 10 centów i gryząc wonne delicye, biegł ku Błoniom.

— Panie, powoli! dokąd to? — odezwał się głos policyanta.

— Wiosna! panie policyancie!

— Gdzietam wiosna? jak dotychczas, to — wojna! Czy pan już zapisany?

— Co za pogoda, panie policyancie! jakie niebo! Bieluchne chmurki pełzną po nieboskłonie, proszą się, żeby je przenieść mistrzowską dłonią na płótno!

— Schowaj pan płótno, a pokaż — legitymację! — zawołał ostro policyant, któremu nie podobało się zachowanie „cywila“.

— Gdy kupię nowy pendzel i stalugi, zaraz maluję... Wiosnę* ...

— Czy pan już stawał do przeglądu?

— ...Wiosnę, symbol radości, życia...

— Proszę o legitymacyę!

— Nie mam legitymacyi! jestem malarzem!

— To mało! proszę za mną!

— Panie plicyancie, a nie pójdziemy na Błonia? chodź pan, obejrzymy wiosnę! Co za pogoda?

— Co to ma znaczyć? — i policyant schwytał malarza za napoleoński rękaw.

— Panie policyncie, może pan pozwoli cukierka i puści mnie! — skamlał malarz, wciskając policyntowi do ręki rozpuszczoną „czekoladkę“. Ten oczywiście, jak każdy policynt wogóle nie przyjął „łapówki“. Wkrótce obaj byli na inspekcyi.

„Włóczęgę“ umieszczono w oddzielnej ubikacyi. Malarz zdrzemnął się z nadmiaru wzruszeń. Po chwili otworzył oczy.

— Lokaj, pan!... gdzie ja jestem? — mówił rozespany, przyglądając się pokoikowi, który o tyle przypominał mieszkanie malarza, że miał cztery ściany, sufit i podłogę i gościł w sobie człowieka o słabo rozwiniętym zmysle rzeczywistości.

„Rumun“.

— Panna! nie pchać się!

— Widzisz go! jaki kawaler!

— Panna! powiadam nie pchać się!

— Ty się sam pchasz!

— Co za „ty“? jaki „ty“? Pcha się jak...

— Cicho tam! — krzyknął ktoś z końca długiego szeregu ludzi, podobnego do fantastycznego węża, otaczającego filię mleczarni miejskiej.

Po tych słowach wąż ludzki poruszył się nerwowo, poszczególne ogniwa jego uderzyły o siebie, tłum cisnął się, szumiał... Znów zawrzało.

— Nie deptać po nogach!... złązić z chodnika.

— Żebyś panna za to mąki nie dostała!

— Coś ty lepszego ode mnie!

— Powiadam pannie, żeby mnie nie „tykać“!

— Ho! jaśnie pan! a gruby, jak rzeźnik!

— Stul gębusię! ty dzierlatko! — sapał ciężko tłusty z wybitnie rozwiniętym stanem kandydat na rzeźnika, ocierając krople potu z czoła.

— A cicho tam! — odezwał się ponownie głos z końca. Wszyscy dostaną mąkę, bo przyszła...

— Przyszła?

— Ano przyszła... z Rumunii!

— Ja zawsze mówiłem, że Rumunia — to dobry kraj!

— Gdzietam dobry? Tym dają i tamtym dają!
Kto płaci — ten przyjaciel!

— Tak, tak... to kute djabły.

— Handełesy...

— Nie ubliżać Rumunii! — rozległ się gruby bas niedoszłego rzeźnika.

— O! znalazł się obrońca! — huknęło ze wsząd — jaki Rumun!...

— Rumun!... Rumun!..

— Rumun! — chichotał cienki głosik „panny“.

Tymczasem „Rumun“, czerwony jak burak stał zawstydzony, party całą siłą do drzwi mleczarni. Cofnąłby zapewne z chęcią swe słowa, teraz usiłował się tylko tłómaczyć:

— No nie... ja, tego...

— Niema co, niema co! Przepadło! — zapiszczała „panna“ — Rumun i skończone.

W tej chwili drzwi mleczarni, pchnięte silniej otwały się z łoskotem.

„Rumun“, który stał w pierwszym rzędzie, uderzył z całym impetem w próżnię, lecz schwycony w drewniane ramy drzwi, ugrzązł nieruchomo.

— Hu, hu... — dyszał, jak lokomotywa, wymachując bezradnie rękoma.

— Do środka go! do środka! — posypały się głosy.

— Pchnijże go panna!

„Panna“ dotknęła się pleców „Rumuna“.

— Nie pchaj panna, bo mnie zgniecie!

— To go z powrotem!

„Panna“ pociągnęła „Rumuna“ za palto.

— Na rany Boskie nie ciągnąć, bo skonam!

— wrzeszczał wściekle „Rumun“, odwróciwszy

purpurową twarz i rzucając jadowite spojrzenie na zadowoloną „pannę“, która uśmiechając się powtarzała :

— „Wzięło“ „wzięło“ Rumuna!

— Co tu się dzieje? — zapytał równie niespodzianie, jak ostro cerber bezpieczeństwa i porządku publicznego, to znaczy pan policyant, dotychczas obojętnie przyglądający się całej scenie.

— Widzi przecież pan policyant, że „wzięło“ Rumuna! — tłumaczyła „panna“. — Nie można go do środka i nie można z powrotem!

Właściciel srebrnego półksiężycy, przecisnąwszy się przez tłum, zbliżył się do wejścia i śmiałym uderzeniem rękojeści swego miecza otworzył drugą połowę drzwi.

— Fu!... — wydobyło się z piersi „Rumuna“, jak z piłki, przekłutej szpilką.

Człowiek, którego upodobniliśmy w tej chwili do przekłutej piłki, zachwiał się chwilę i uderzył całym ciężarem w tłum...

We drzwiach mleczarni ukazała się postać, o tyle przypominająca mamkę, że zajmowała się obdarzaniem ludzi mlekiem.

— Czego państwo czekacie? — odezwała się miłym, niemal słodkim głosem. — Dotychczas nie otrzymaliśmy mąki z Rumunii, ale w tych dniach przyjdzie!

— No, a dzisiaj?

— Dzisiaj mąki niema!

Tłum zaszemrał złowrogo i stopniowo rozchodził się do domów... Na placu boju pozostał tylko stękający, Rumun“.

Sfałszowane papiery.

Przyszedł wreszcie dzień przeglądu pospolitaków litery K. Mimo, że pan Władysław miał „wszystko“ w porządku, t. j. właściwie jego papiery wojskowe były w porządku, od rana był silnie zdenerwowany. Wydobywszy z biurka pokazną paczkę dokumentów, wśród których znajdował się dowód zwolnienia od wojska z podkreślonym czerwonym ołówkiem słowem „nicht geeignet“, pan Władysław udał się do biura, gdzie odbywał się przegląd.

Przyszła wreszcie kolej na pana Władysława. Przewodniczący uważnie przeglądał jego papiery. Upłynęło kilka minut długich jak wieczność. Pan Władysław niecierpliwił się.

Porównywano jego papiery z duplikatami.

— Pańskie dokumenty są sfałszowane — chłodno oświadczył przewodniczący.

Panu Władysławowi uderzyła krew do głowy.

— A... a... ale... ja... ja... na... naprawdę zostałem zwol... zwolnionym.

— Tak, wiem o tem z duplikatu. Ale ktoś

zrobił panu figla w pańskich papierach i wyskrobał przedimek „nicht“ ; pozostało więc „geeignet“.

Nieporozumienie wkrótce załagodzone i pan Władysław powrócił zwolniony do domu.

W domu dnia tego pan Władysław zrobił „skandal“.

— Kto brał moje papiery? Kto wyskrobał „nicht“? Wandziu! — wołał do żony — oprócz mnie tylko ty masz klucz od biurka; czy dawałaś go komu?

W przedpokoju odezwał się dzwonek. Do mieszkania wbiegła, brzydko sapiąc, teściowa pana Władysława, z którą ten ostatni prowadził od dłuższego czasu walkę na lądzie, morzu, pod wodą i w powietrzu.

— Cóż? Władek wzięty?

— Komu dawałaś klucz? — krzyczał pan Władysław, nie zwracając uwagi na „nieprzyjaciela“.

— Zwolniony, mamó!

— Tak?... no... no!

— Komuś dawała, Wandziu, klucz?

— Ależ Władku, uspokój się! Nikomu obcemu nie dawałam, wczoraj tylko gdym wyszła do miasta, zostawiłam go mamie razem z innymi kluczami!

Prezent na Wielkanoc czyli „Cudownie ocalony“.

Nela była niezaprzeczenie ładną dziewczyną. Należała ona do tych kobiet, o których studenci i akademicy mówią, że „warte są grzechu“. Jednak nie żaden student lub akademik znajdował się wobec pięknej Neli na ślizgiej drodze do „grzechu“, lecz pan Bronisław, któremu nasza bohaterka wcale niedwuznacznie okazywała, że niema nic przeciwko „grzechowi“.

Rzecz między młodemi była ułożona; mieli się pobrać, gdy pan Bronisław dostanie podwyżkę i spadek po babce, a ona skończy studia seminaryjne, nie mające końca, niczem obecna wojna. Byłoby wszystko ładnie i dobrze, jak w bajce, gdyby... gdyby nie rodzice, którzy nie chcieli się zgodzić, aby dziewczyna „marnowała się“ z jakimś urzędnikiem „od ubezpieczeń“.

Marnotrawstwo jest jednak powszechną wadą ludzkości, więc młodzi postanowili za wszelką cenę doprowadzić do.. „zmarnowania się“.

Pan Bronisław, który poprzednio był częstym gościem w domu rodziców „marnotrawnej“ córki, stopniowo bywał coraz rzadziej, bowiem obok płonących jak ogień oczu uroczej Neli, witały go mrozące jak lód spojrzenia jej rodziców.

— Może są niezadowoleni, że się mało staram o ciebie? — pytał pan Bronisław swej Beatricze, z którą od Bożego Narodzenia był na „ty“.

— Nie wiem!

— Pamiętasz, gdym ci nie przysłał kwiatów na imieniny — jakie było oburzenie! Uważam że w prawdziwej miłości niepotrzebne są prezenty, jednak, jednak... mogę... mogę to zrobić, oczywiście całkiem oficjalnie! Tak, przyślę prezent w pierwsze święto!

— Komu?

— Jakto komu? No, tobie, rodzicom, rodzeństwu, służbie, całemu domowi, jednym słowem: wszystkim! — zapalał się pan Bronisław, sądząc, że doprowadzi go to do upragnionego „grzechu“ t. j. do małżeństwa.

Chcąc zrealizować swój projekt, wstąpił wracając do domu, do „Michalika“ i zamówił na Wielką Sobotę potężny tort o niezwykłych rozmiarach, mogący śmiało wystarczyć jako tarcza ochronna przed nieprzyjacielskimi granatami. Na wierzchu wśród malowniczo ułożonych lukrowanych róż miało być wyryte: „Alleluja“!

— Może to co pomoże? — uśmiechał się zadowolony pan Bronisław, chodząc nerwowo w swem mieszkaniu.

-- Katarzyno! — zawołał do swej starej służącej — w sobotę przyniosą tu tort. Trzeba będzie go w niedzielę rano zanieść na ulicę Krupniczą... tam, gdzieś zwykle chodziła!

— Dobrze, proszę pana, ale w południe przyszedł list!

Serce naszego amanta uderzyło silniej.

— Czy to nie od jej rodziców? może chcą... ale nie, nie! to „feldpost“.

Pan Bronisław rozerwał kopertę.

— Ha... ha... ha...! głupiec ze mnie, mam też pomysły!... Poczciwy Łudek pisze z frontu, żeby mu przysłać trochę bielizny, bo mają straszne zimna! Trzeba chłopcu kupić coś ciepłego!

W Wielką Sobotę pan Bronisław robił przygotowania do ostatecznego ataku, skierowanego w lodowate serca rodziców swej ukochanej:... nazajutrz rano pośle tort, w południe zjawi się osobiście. Przed obiadem wręczył Katarzynie wonny, pełen poezyi liścik. tak słodki, że trzeba było zużyć za niego aż... dwie „kartki cukrowe“.

— Ten list zanieiesz jutro z tortem! a nie zapomnij wysłać bielizny panu Ludwikowi!

Pan Bronisław nie mógł spać w nocy. Przed oczyma snuły mu się najfantastyczniejsze obrazy, niczem w kinematografie krakowskim: widział rodziców Neli, odbierających tort, odczuwał wrzenie, jakie uczyni prezent..

— Królewski prezent w obecnym czasie! Tort za 30 K — szeptał w półśnie.

Po nieprzespanej nocy, po wysoce denerwującym oczekiwaniu 12-tej godziny w południe, pan Bronisław wyświeżony, wygolony, spieszył ulicą Krupniczą.

Z bijącym sercem wszedł do bramy. Miał uczucie, jakgdyby ciężar jakiś przytłaczał mu

piersi, nogi chwiały się, w skroniach pulsowała gwałtownie krew. Drżącą ręką przycisnął guzik dzwonka.

Cisza...

W przedpokoju odezwał się powtórnie dzwonek. W oczach wirowały mu: klatka schodowa, okno, milczące, zamknięte drzwi, jak brama Sezamu.

Zgrzytnął zatrzaszk. We drzwiach ukazała się Wikcia z paczką w ręku.

— Państwo kazali oddać to panu i kazali powiedzieć, że niema ich w domu!

Drzwi trzasnęły, paczka potoczyła się ze schodów.

Pan Bronisław był oszołomiony. Stał chwilę nieruchomo, potem zbiegł pędem na dół.

— Bielizna dla Ludka!

Porwał paczkę i pędził do domu, powtarzając gorączkowo:

— Głupia, głupia baba!

W kilka dni potem otrzymał pan Bronisław depezę od Ludka tej treści:

„Głupi żart! Mimo to dziękuję Ci za tort. Był doskonały!”

* * *

Co przeszła i co wysłuchała się Katarzyna od nieszczęśliwego amanta — nie dałoby się tu powtórzyć i mogłoby posłużyć jako temat do rozprawy lub powieści.

Pan Bronisław zmizerniał, stracił apetyt, myślał nawet, czy nie byłoby dobrze popełnić samobójstwa. Po pewnym jednak czasie i głębszem zastanowieniu, uspokoił się i porzucił myśl o śmierci; po miesiącu poprawił się znacznie; po dwóch — wrócił mu się apetyt; a dzisiaj pan Bronisław jest szczerze wdzięczny Katarzynie za to, że go uchroniła... od „grzechu!“

Także obrazek wojenny.

— Zabraniam po raz ostatni, moje dzieci, zajmować się polityką! — mówił pan Michał do trzech latorośli swego rodu. — Dzisiaj te kwestye mogą być poruszane tylko przez starszych i to z zachowaniem wszelkiej ostrożności, można się bowiem łatwo narazić; jeżeli jeszcze raz zastanę was rozprawiających o polityce, — co zwykle prowadzi do bójki — wysyłam najgłośniejszego z chłopców na wieś do cioci Wandzi.

Pamiętajcie smyki!

— Ja się nie zgadzam na ewakuację! — zaproponował energicznie najmłodszy, Tadzio!

— Co? ty się nie zgadzasz? jakto się nie zgadzasz? A to dobre... wyślę i basta!

— Jeżeli tatuś go wyśle, ja również pojadę — dodał Bohdanek — zawarłem właśnie onegdaj z Tadzikiem dwuprzymierze przeciwko Jerzykowi i idziemy na niego w gwałtownej ofenzywie.

— O, przepraszam! — zakwestyonował Jerzyk — co do tego, to nie! Wykonałem dziś rano pomyślną kontrofenzywę i podbiłem nawet Tadzikowi oko!

— Co, podbiłeś mu oko? — zawołał pan Michał. — Ależ wy jeden drugiego okaleczycie! Chodź Tadziu, pokaż oko! A to dardanelskie osły! dzieciak ma siniaka, jak pięść!

— Tatusiu, nie jesteście dardanelskimi osłami! — zawołali jednocześnie chłopcy.

— Ja zawsze stoję po stronie czwórporozumienia! — dodał Jerzyk.

— My zaś nie, Turkami być nie chcemy, chociaż uważamy, że Dardanele są nie do sforsowania!

— To się jeszcze zobaczy! — bronił Jerzyk.

— Nie potrzebujemy zobaczyć, bo już widzimy: nie zdobyte i koniec!

— Poczekajcie, moi drodzy! Niech się tylko Bałkan ruszy!

— Tak, tak... ty wciąż tylko mówisz: gdy Bałkan się ruszy... ruszy, jak martwe ciele ogonem!

— Proszę tylko bez cieląt! W polityce niema cieląt! — zapalał się Jerzyk.

— Jakto niema? — parsknęli śmiechem młodsi chłopcy.

— Jeżeli bronisz cielecej polityki Bałkanu, toś sam ciele!

— A wy osły, bo bronicie Dardaneli!

— Proszę nam nie ubliżać!

— Wy mnie ubliżacie; Bohdan weź ten kułak!

— Jerzyk, zamknij swoją „politykę“!

— Tatusiu, podbili mi drugie oko — zawołał z płaczem Tadzio, biegnąc do ojca, który bezradny przyglądał się tej scenie.

— Kto uderzył Tadzia? — krzyknął wreszcie zirytowany pan Michał.

— To ja, tatusiu, ale chciałem Jerzyka, więc to się nie liczy!

— Ja ci dam „nie liczy się“! Jerzyk i Bohdan pójdą do kąta na pół godziny, nosem do ściany!

Chłopcy pogrozili sobie nawzajem i udali się na miejsce kary doczesnej. Pan Michał tymczasem opatrywał oko zapłakanego Tadzia, który upewniał ojca, że zerwie koalicję z Bohdanem, że nawet Rosya ma lepszych sprzymierzeńców, którzy, jeżeli pozwalają ją bić, to przynajmniej sami jej nie biją.

— A ja ci powiadam, że nie zerwiesz, boś się zaangażował finansowo — odezwał się pewnym tonem Bohdan z rogu pokoju.

— Wolę skwitować z finansów i amunicyi, a nie dostawać co dzień w oko! Jerzyk podbił mi jedno, tyś drugie. nie mam więcej oczu na stracenie! Wolą prowadzić samodzielnie akcję wojenną!

— Głupi chłop! samodzielnie? Zginiesz, jak mucha — zakonkludował Bohdan.

— No, no, prześlicznie! — odezwał się Jerzyk z drugiego rogu. — Konjunktury polityczne układają się dla mnie bardzo pomyślnie: rozdwo-

jenie w koalicyi nieprzyjacielskiej. Teraz dam sobie radę z tobą Bohdanku, a później na Tadzika!

— Widzisz ten kułak? — odpowiedział Bohdan — nie ustąpię, choćbym miał wszystką amunicję wystrzelać; a potem na bagnety!

— A tom ich pokłócił — zawołał uradowany Tadzio, którego oko przestało nagle boleć — Bijcie się, bijcie, jeszcze ja na tem skorzystam!

— Mój drogi, tylko nie udawaj Anglika, bo jeszcze możesz...

— Cicho, chłopcy! — przerwał pan Michał — zdaje się, ktoś dzwoni, to pewno mama!

Po chwili wpadła do pokoju pani Helena, korpulentna magnifika pana Michała, wpadła dosłownie jak bomba z kapeluszem przekrzywionym, rozpalonymi policzkami i załamanemi rękoma.

— Heluniu! — odezwał się pan Michał — coś tak wzburzona?

— Ah! tchu, tchu, powietrza... Michale... coś straszno... okropnego... Wyobraź sobie, ten Biernacki z parteru nazwał mnie, nie pamiętam już jaką „filką“. Cóż on sobie myśli? Nie znam specjalnych wyrażeń, używanych przez mężczyzn, lecz pewną jestem, że to nie oznacza nic dobrego! I taki śmie... uczciwą kobietę... w ten sposób... Nie, nie, to przechodzi ludzkie pojęcie!

— E, on pewno mamę nazwał „moskalofilką“ — zaryzykował Jerzyk — to jeszcze nic straszno! Zresztą, mama po części ma rację!

— Kto ma rację? Moskalofilka? Jerzyk, ty chyba kpisz! — oburzył się Bohdan.

— Nie dość tego — ciągnęła dalej pani Helena — on twierdzi, że sprzymierzeni muszą wygrać!...

— Bo ma rację! — wtrącił Bohdan.

— Taką samą, jak i ty! — dorzucił Jerzyk.

— Chłopcy cicho — zawołał pan Michał...

— Będziemy już cicho, zrobimy nawet zawieszenie broni, ale niech tatuś pozwoli nam wstać.

— A wstańcie już, wstańcie... tylko mi dajcie święty spokój!

— Więc to Michale, nic złego ta „filka“, bo ja już myślałam...

— Ależ, nie, nie — to oznacza pewne skłonności polityczne.

— Polityczne? No to chwała Bogu, że tylko polityczne! Ale przyznasz Michałku, że Biernacki na kwestyę zwycięstwa zapatruje się fałszywie, ja mam daleko więcej racji?

— O tak, Heluniu! Każde z was ma rację, ty masz rację, Jerzyk, Bohdan, nawet Tadzio ma rację, tylko ja jeden nie mam racji, że chciałbym raz mieć spokój w domu! O, żeby ta wojna najprędzej się skończyła!...

Dziwne zwyczaje.

— O, tośmy się kopę lat nie widziały! — zawołała ucieszona Klemensowa, spotykając na Kleparzu swoją kumoszkę.

- Tak, tak! od początku wojny!
- Cóż u was?
- Stara bieda. Mój jeszcze w zeszłym roku poszedł na linię.
- Mój też!
- Alem się dowiedziała, że jest w niewoli!
- Ola Boga! toż mój też jest w niewoli!
- Wiecie, w tej Rosyi to są dziwne zwyczaje.
- Niby go nie męczą, jeno mu każą *tulać* się po całym państwie.
- Jakto?
- Kiedym się pytała w Czerwonym Krzyżu, gdzie trzymają mojego, napisali mi ino: *Tuła**).
- Święta racya, — że dziwne zwyczaje — rzekła Klemensowa — mojego znów, choć on żaden rzeźnik, trzymają *w jatce**).

Słuszna polityka.

— Ale ja pańskiej polityki nie podzielam! — krzyczał czerwony, zacierzewiony pan Walenty i uderzał gwałtownie w marmurową, a przynajmniej imitującą marmur, powierzchnię restauracyjnego stolika.

— To mi jest obojętne. Możesz pan wyznawać nie wiem jakie zasady, a ja od swego nie odstąpię! — odpowiadał mu szczupły, o zapadłej

*) Tuła i Wjatka — miasta gubernialne w Rosyi.

piersi jegomość w wytartym surducie, doktor filozofii, poeta i malarz w jednej osobie.

— I ciekawy jestem, na czym pan opierasz swoje wyrachowania? — pytał dalej pan Walenty.

— Na czym opieram? Ależ to jasne, jak słońce, trzeba tylko chcieć zrozumieć.

— No, no, no...

— Otóż — ciągnął doktor filozofii, poeta i malarz w jednej osobie — jeżeli ktośkolwiek posiada najprymitywniejsze zasady i znajomość nie powiem już założeń polityczno-społeczno-etycznych, ale poprostu, że się tak wyrażę, spekulacyjno-handlowo-życiowych, otóż powtarzam, że, jeżeli komuśkolwiek te rzeczy nie są zupełnie obce, a dodam jeszcze, że jeżeli zdaje sobie sprawę z różnic finansowo-gospodarczych, jakie istnieją w społeczeństwach i pomiędzy jednostkami... Pan mnie.. rozumie, panie Walenty? Prawda?

— Na miłość Boską, kończcie pan prędzej! Siedzimy tu od południa, zjedliśmy drugie śniadanie, obiad, teraz kolację... nie mam zamiaru nocowania w restauracji!

— Ależ skończę, skończę. Tylko pozwól pan mi skończyć i nie przerywaj wątku myśli — odparł spokojnie doktor filozofii, poeta i malarz w jednej osobie.

— Więc słucham! — rzucił nerwowo pan Walenty.

— A więc, reasumując to, cośmy powiedzieli, dochodzimy do wniosku, że kto chce zabierać

głos w omawianej przez nas sprawie... *eo ipso* musi mieć przynajmniej częściowo skryształizowany pogląd na te rzeczy... To jest niezbędne... tak... tak! Dlatego też, panie Walenty, na wstępie zmuszony jestem zapoznać pana z moją teorią socjalistyczno-komunistyczno-etyczną, poznanie której pozwoli panu zmienić dotychczasowy bądź co bądź ciasny pogląd, stanąć na wyżynach czystej myśli i przyznać mi wreszcie, że rozumowanie moje jest całkiem słuszne, a żądania umotywowane.

Pan Walenty słuchał tej przemowy, jak niemieckiego kazania, wkońcu rzekł:

— Nie, nie, łaskawy panie! Tego już za dużo! Mam słuchać pańskich wywodów po to tylko, aby w rezultacie...

— Ależ, o to może pan być spokojny. W tej filantropijno-altruistycznej akcji przeszkadzać panu nie będę i zostawiam szanownemu panu całkowitą swobodę działania. Chodzi mi jedynie o to, aby pan, panie Walenty, doszedł do tych wniosków drogą logicznego rozumowania i postąpił konsekwentnie, nie przymuszony okolicznościami, ale z faktycznego, wewnętrznego przekonania.

— Mam dosyć tego. Nie chcę pańskich dowodów! — zawołał poirytowany mocno pan Walenty. — Dosyć tego gadania! Pytam się tylko po raz ostatni: czy płacisz pan za swoje śniadanie, obiad i kolację, no i za to szkło?

Doktór filozofii, poeta i malarz w jednej oso-

bie skrzywił się, jakgdyby mu kto na odcisk nastąpił i wycedził przez zęby:

— Na to udzieliłem już szanownemu panu wyczerpującej odpowiedzi, lecz zechciej pan wysłuchać mojej teorii socjalistyczno-komunistyczno-etycznej, która cię uspokoi i doprowadzi do wniosku, że moja polityka życiowa jest najlepsza!

Pan Walenty pokiwał z rezygnacją głową i krzyknął na kelnera:

— Płacić! Dwa śniadania, dwa obiady, dwie kolacje, bilard i lustro stłuczone przez tego oto pana!...

Placek z serem.

(Idylla rodzinna).

Jakżeż ucieszyli się państwo Jadalscy, gdy dnia pewnego otrzymali ze wsi od cioci Ludki królewski — jak na dzisiejsze czasy — prezent: prawdziwy placek.

— Pani starsza, z Wólki, przysłała placek! — oświadczyła służąca pewnego wieczoru majowego, wchodząc do pokoju.

Słowa te podziały na zebraną przy wieczerzy rodzinę państwa Jadalskich elektryzująco. Po chwilowem osłupieniu rzucono się formalnie na

Bogu ducha winny placek i wydobyto go wkrótce z tekturowego pudełka.

— Rzeczywiście, placek! — zawołał ucieszony pan Jadalski.

— Dzisiaj, placek! to coś arcy-niebywałego! — dodała pani Jadalska.

— Mamusiu! proszę o kawałek! — zakończył zdaje się najtrafniej 7-letni Tadzio.

— O, nie!

— Słusznie, takie rzeczy podczas wojny idą na wagę złota.

— Zaczniemy od jutra. Do śniadania dostawać każdy będzie mały kawałek, aby na dłużej wystarczyło — zakonkludowała pani Jadalska.

— No, tak znów nie! możnaby i dzisiaj — wtrącił nieśmiało pan Jadalski.

— Nie, stanowczo nie!

— Chciałbym się przekonać, czy też on jest z serem. Ser — to dzisiaj wszak fenomen!

Czy z serem? jutro się przekonasz! — i pani Jadalska umieściła placek na jednej z półek kredensu, aby go myszy nie zjadły.

Po kolacyi cała rodzina udała się na spoczynek. W mieszkaniu zaległa cisza. Morfeusz rozpoczął swe panowanie.

Pan Jadalski spał niespokojnie. Męczyły go jakieś widziadła, przewracał się z boku na bok. Około północy szarpnął się gwałtownie i widocznie pod wpływem dziwnego snu z ust jego padło słowo:

— Placek... hm... placek!

W sypialni odezwało się młaśnięcie.

— Czy też on jest z serem?

W ciszy nocnej skrzypnęło łóżko, poczem rozległy się słabe kroki.

Pan Jadalski cichutko skradał się w stronę kredensu. Lekko powiewała (mówiąc poetycznie) jego tunika, znacząca się białą plamą na tle ciemnego pokoju.

By placek robił wrażenie jedzonego przez myszy, pan Jadalski chwycił go oburącz i bez pomocy noża wchłaniał w siebie pulchne ciasto.

— Tak, on jest z serem! — sapał ciężko, mając pełne usta ciasta. — Ale trzeba coś zostawić!

Placek, zmniejszony o połowę, spoczął na dawnym miejscu, a pan Jadalski, zadowolony z „mysiego“ podstępu, wtulił się ostrożnie pod kołdrę.

Widocznie jednak połowa placka, którą obecnie zawierał w sobie, zrobiła go cięższym: podłoga skrzypnęła, łóżko jęknęło, dość, że pani Jadalska poruszyła się niespokojnie na łóżku.

— Placek... placek!... Myszy pewno się dobrały! Jakiś szmer! — i pani Jadalska również w samej „tunice“ pobiegła do stołowego pokoju.

— Dlaczegoż go nie zabrałam do spiżarni? dlaczegoż? — szeptała boleśnie. Oh... oh!.. Ale on wcale niezły! A co za ser? Tak, tak, wcale niezły!

Z placka pozostała tylko szósta część.

— Przekłete myszy, przekłete! — mruzczała pani Jadalska, kładąc się do łóżka... i trzymając w ręku spory kawałek placka...

Tadzio miał przykry sen. Śniły mu się dwa wielkie szczury, pochłaniające przysłany od babci placek.

— A dla mnie kawałek! — krzyknął przez sen Tadzio, zerwał się z łóżka i pobiegł do stołowego pokoju.

— Dobrze mi się śniło! prawie cały placek już zjadły. Ale jeśli zjadły tyle, mogły zjeść i resztę!

Po tych słowach Tadzio najspokojniej w świecie dokończył żywota nieszczęśliwego placka z serem.

Nazajutrz rano w mieszkaniu państwa Jadalskich panowało niezwykle zamieszanie.

— Myszy zjadły placek!

Postanowiono kupić trzy pułapki i dwa funty zatrutej pszenicy.

— Podłe myszy! — mówił pan Jadalski.

— Nikczemne, bezwstydnne! — dodała pani Jadalska.

Tadziowi żal się zrobiło myszy, które niesłusznie zostały posądzone o zjedzenie całego placka.

— Mamusiu... bo... to.. ja... właściwie też jadłem placek!

Jadłeś?

— Łakomczuch!

— Wstyd, wstyd!

— Ale ja zjadłem tylko resztę, którą zostały myszy.

— Rzeczywiście gdy człowiek ma myszy i dzieci w domu, nie może, nic trzymać na wierzchu. Wszystko zjedzą! — irytowała się pani Jadalska.

— Zupełnie słusznie! — powtórzył z przekonaniem pan Jadalski.

Moja ciotka i... Nero.

(Temat do tragedyi, która nie miałyby nic wspólnego z wojną).

Tytuł wskazuje, że będzie tu mowa o ciotce. Istotnie. Ale moja ciotka nie była taką pierwszą lepszą, z brzegu ciotką. O nie! Był to najlepszy, wyborowy gatunek ciotek, bo proszę tylko wziąć pod uwagę: kobieta, a, właściwie biorąc stara panna, która obok niezwykłych przymiotów duszy posiadała i tę cenną zaletę, że była bogata, przyrzekła zapisać cały swój majątek (okragło 100.000 K), swemu siostrzeńcowi, to jest niby mnie. Czyż to nie szlachetne? Bardzo, bardzo szlachetne! Kochałem też moją ciotkę z całej duszy za jej niezwykłą szlachetność... Przecież to jasne!

Ale między nami stanął... Nero. Trzeba bowiem wiedzieć, że oprócz bogatej ciotki miałem... rasowego wyżła: Nera.

Tu zaczyna się właśnie tragedia.

Młody wyżeł, którego dostałem od mego współlokatora Karola, wyrósł na prześlicznego psa. Dlaczegoż go właściwie nie miałem pokazać ciotce?

Okazuje się jednak, był to najbardziej fałszywy krok. Przekonałem się, że nigdy nie należy chodzić do ciotek z psami.

Ale trudno, stało się. Pewnego razu poszedłem do niej z Nerem. Ciotka była zachwycona.

— Co za psina! jakie oczy! jakie uszy! jaka główka! jaki ogonek!.. Mój Boże!

Z jednej strony byłem zadowolony, że się pics podoba, z drugiej jednak rodziła się we mnie pewnego rodzaju zazdrość. Przedtem ciotka zachwycała się zwykle mojemu oczyma, moją główką i t. d., teraz Nero został przedmiotem jej uwielbienia.

— Władku! — rzekła do mnie tego samego wieczoru — ty mi podarujesz Nera?

— Ładna rzecz! — pomyślałem i udałem, że nie słyszę zapytania. Posiedziałem chwilę, zabrałem Nera i wróciłem do siebie. Widziałem, że ciotka była przybita, ja zaś byłem zły, że pokazał psa. W kilka dni potem byłem znów u niej, oczywiście sam.

— A gdzież Nero? — zapytała zaraz na wstępie — gdzież ta psina rozkoszna?

— Zachorował!

— Biedactwo! ja poprostu kocham tego psa, Władziu! Słuchaj chłopcze, mam do ciebie prośbę: ty mi podarujesz Nera?

Byłem przyciśnięty do ściany! Miałem do wyboru: Nero, albo 100.000 K.

Zbyt kochałem ciotkę, abym mógł jej odmówić.

— Tak, już dawno miałem zamiar zrobić z niego prezent cioci. Jak tylko wyzdrowieje — przyprowadzę go.

Przez pewien czas nie pokazywałem się u ciotki. Bez psa nie mogłem przyjść, a żal mi było rozstać się już z Nerem.

Aż oto, pewnego dnia otrzymuję bilecik tej treści: „Zapraszam Nera i Ciebie dziś na wieczór. Twoja ciotka!

Wiedziałem już napewno, że ciotka „warjuje„ na punkcie Nera, ale jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że politykować dalej niepodobna. Nagle... o zjawo nadziemska! po drugiej stronie ulicy dostrzegłem psa, zupełnie podobnego do Nera. Śmiała myśl powstała w mej głowie. Wybiegłem z mieszkania i wkrótce powróciłem, prowadząc, może nie tak ładnego jak Nero, ale zawsze — psa.

* * *

I powiadasz, że on się tak zmienił podczas choroby? Nie wiedziałam, nie wiedziałam Władziu, że choroba może psa do tego stopnia zmienić. Przecież to wstrętne psisko!

— Zdaje się cioci! — uspakajałem. Troszkę

się zmienił, ale jak się odżywi — wróci do poprzedniego wyglądu!

— O nie, Władku! on już nie będzie taki ładny, jak przedtem! To zupełnie inny pies!

— No, nie! pies ten sam, tylko wygląd — inny!

— To zwyczajny kundel!

Zdaje się cioci, zdaje.

— Może mi się zdaje — westchnęła ciotka.

* * *

Ocaliłem więc Nera, ale musiałem go strzedz, nie wyprowadzać w dzień na ulicę. Mimo to, od pewnego czasu zauważyłem, że ciotka zaczyna coś podejrzewać. Nero Nr. 2 po dobrych obiadach nietylko, że się nie zrobił bardziej rasowy, lecz zgrubiał, spał się; niktby go już teraz nie nazwał wyzłem.

W miarę, jak zmieniał się Nero Nr. 2, zmieniała się również dla mnie ciotka. Była chłodną, małomówną, zaczęła w końcu mnie szpiegować, podpatrywać...

Ponieważ miałem kawalerskie mieszkanie z przyjacielem Karolem, ciotka u mnie nie bywała, pewnego atoli rana usłyszałem na schodach znajomy jej chód. Struchlałem. Nero leżał, wyciągnięty jak długi na podłodze, a ciotka już była przy drzwiach. W oka mgnieniu schwyciłem Nera za grzbiet i wepchnąłem do szafy. W parę sekund potem na progu ukazała się moja ciotka, prowa-

dząc na smyczy swego kundla, to jest właściwie chciałem powiedzieć Nera Nr. 2.

— Dzień dobry cioci! Czemuż mam zawdzięczać?

— Dzień dobry Władku! Przyszłam zobaczyć, jak mieszkasz — mówiła, puszczając swobodnie Nera Nr. 2, który bez namysłu... o zgrozo... skierował się w stronę szafy.

— Tak, istotnie, mieszkam! — bąkałem niewyraźnie, usłyszawszy z wnętrza szafy słabe drapanie.

— Co to?

— E nie, to tego...

Nero Nr. 2 wsparł się łapami o drzwi szafy, z której dochodziło już wyraźne drapanie.

— Co to? — powtórzyła.

— To... to... widzi ciocia... Karol... ten Karol, z którym mieszkam był... tego... nie ubrany, więc słysząc, że ktoś idzie, schował się do szafy!

— Aha!... Panie Karolu! Dzień dobry panu. Mój Nero odrazu pana poczuł! Nero! pójdź tu!

W tej chwili z wnętrza szafy odezwało się szczeknięcie, drzwi szafy otworzyły się z łoskotem i Nero Nr. 1 wyskoczył na środek pokoju.

Byłem zgubiony!... ciotka spojrzała na mnie wzrokiem, ciskającym gromy i błyskawice i nie rzekłszy słowa opuściła mieszkanie.

W pokoju pozostały dwa psy, no i... ja...

Nazajutrz dostałem od ciotki list, że będę... wydziedziczony!

NA OBU FRONTACH.

Obrazek w jednym akcie.

Osoby: Wanda Brzeska — młoda wdowa, kapitalistka
 Karol Wilski — porucznik.
 Jaś — jego ordynans.
 Kasia -- pokojówka.

Rzecz dzieje się w kraju okupowanym w mieści powiatowem N. w domu Wandy Brzeskiej, u której kwateruje Wilski. Akcja przypada na czas wojny europejskiej 1914—17.

Scena przedstawia salonik gustownie umeblowany: pianino, tremo z lewej strony stół, na którym leżą porozrzucone fotografie, pocztówki, kilku albumów.

SCENA 1.

Kasia, Jaś.

(Kasia ściera kurze, Jaś przewraca fotografie na stoliku).

Jaś. Panna Kasia to nawet kurzów zetrzeć nie potrafi! (dotyka palcem brzegu stolika, ogląda palec). Kurzu na dwa cale, jakby od roku nie ścierane. Już to kobieta nie dorówna nigdy mężczyźnie, a cóż dopiero żołnierzowi! Niechno panna pokaże tę ścierkę, ja pannę nauczę kurze ścierać! (podchodzi do Kasi i chce jej wyrwać ścierkę, Kasia ucieka w drugi róg pokoju).

Kasia. Cóż to panu Janowi za figle w głowie? Kogo to chce uczyć? Mnie? Nikt mi jeszcze nie powiedział, nawet pani, że źle kurze ścieram, a tu znalazł się już nauczyciel... Do okopów,

na linię, a nie uczyć porządne panny jak się kurze ściera!

Jaś (podchodzi do niej). Widzę, że panna Kasia to ostra dziewczyna. Niema co! (Kasia ucieka od niego). Czegóż się panna boisz? przecież nie jestem strzygą i nie zjem panny. U nas są inne zwyczaje. Panny same się proszą, żeby je uczyć... bo i tak być powinno. Któż więcej umie? Kobieta, co siedzi w domu, czy mężczyzna, na przykład wojskowy, co jeździ na wojnę, to tu, to tam i ogląda cuda Boże. Pokaż że panna tę ścierkę! (podchodzi do niej).

Kasia (z oburzeniem) Pan Jan za dużo sobie pozwala! Nie wiem, jakie tam u was zwyczaje, ale u nas takich męskich nauk nie praktykuje się.

Jaś (z powagą). To źle! Żeby nie mężczyzna nie byłoby nic na świecie!

Kasia (ironicznie). Proszę? Nie byłoby nic? No, no, obeszłyśmy się bez was!

Jaś (filuternie). Panna Kasia toby się nie obeszła. Tak, dwa, trzy dni — to ,eszcze... a później (podchodzi do niej).

Kasia (ucieka). Panie Janie, proszę odejść, bo pójdę sobie z pokoju!

Jaś. Kiedy panna Kasia taka piękna, że muszę powiedzieć, co mi na sercu leży.

Kasia (z udanem zaciekawieniem). Ciekawam, cóż tam takiego leży?

Jaś (mówi wolno, zacina się). Bo to widzi

panna Katarzyna, ja to nie jestem taki jak inni. Inni, na ten przykład pan porucznik, dziś z tą, jutro z tamtą... Powiada, że trzeba walczyć na dwóch frontach. Nie uda się tu, uda się tam!... A ja to nie. Choć nie mam wielkiej mądrości, myślę sobie tak: lepiej mieć jeden front, a pewny, choćby taką Kasię... Przecież — to frontowa dziewczyna. Co tam trzymać dwie sroki za ogon...

Kasia (przerywa mu ze śmiechem). A któż panu Janowi każe dwie trzymać?

Jaś (z wyrzutem). Panna Kasia toby tylko żartowała, a ja tu poważną batalię prowadzę.

Kasia. Niechże pan Jan kończy tę swoją batalię!

Jaś. A dyć czekam tylko na panny słowo!

Kasia. Wszystkoby dobrze było, żeby nie ta wojna. Czy to ja wiem, co będzie. Pan Jan wyjedzie, zapomni, zakocha się w innej...

Jaś (przerywa jej). Kto? ja? Choćbym miał skonać, nie zapomnę... Już ja mam taką naturę: panna Kasia, albo żadna! Więc zgoda?

Kasia (niepewnie). Czy ja wiem? Chyba zobaczymy po wojnie...

Jaś. Poco mamy patrzeć? Tu niema nic do patrzenia. Ot... raz, dwa... i gotowe (podchodzi do Kasi, która stoi zamyślona). Ma panna ten pierścionek. Po wojnie, jak przyjadę, to się pobierzemy, a dziś — to niby jesteśmy... narzeczeni. Hę? dobrze?...

K a s i a (cicho). Ano, niech już tak będzie (bierze pierścionek).

J a ś (chce ją pocałować, Kasia wymyka mu się). Oj, moja Kasiu, Kasiu!... (za sceną słyhać kroki).

SCENA 2.

Ciż sami. Wanda.

W a n d a (we drzwiach). Znów zabawy i figle! Proszę Janie iść do swojej roboty i nie przeszkadzać mojej dziewczynie! (Jaś wychodzi). Kasiu! Cóż tu znów między wami było?

K a s i a (cicho). Nic proszę pani... Pan Jan tylko, niby... chce...

W a n d a (zniecierpliwiona). Cóż on chce? Mówże prędzej!...

K a s i a (z obawą). Żeby to po wojnie... ja i on...

W a n d a (gniewnie). Aha, rozumiem! pewno chce, żebyście się pobrali. To zwykła rzecz. Dzisiaj mówi o miłości i o ślubie, a jutro to samo powtarza drugiej; o znam ja ich doskonale. Wszyscy są jednakowi!...

K a s i a. Przepraszam panią, pan Jan jest zupełnie inny. Powiedział tak: Panna Kasia albo żadna! — to jest honorowy człowiek!

W a n d a (kategorycznie). Zresztą, wszystko mi jedno. Po wojnie możecie sobie robić, co wam się podoba, ale u mnie na żadne romanse nie pozwalam!... (wchodzi Karol, w ręku trzyma czapkę, kłania się).

SCENA 3.

Ciż sami. Karol.

W a n d a (życzliwie). Witam pana, panie poruczniku! (do Kasi): Możesz iść do kuchni (Kasia odchodzi).

K a r o l. Pokorny sługa pani dobrodziejki. (witają się). Jestem szczęśliwy, że o tak wczesnej porze mogę przywitać moją sympatyczną gosposię. (na stronie) Ładna bestyjka, jak dyabli!

W a n d a (z uśmiechem). Proszę bardzo? Zdaje się, że pan jesteś bogaty w komplementy.

K a r o l. Pani! To nie jest komplement. Słowa moje są szczerze, płyną z głębi duszy, wrywają się z piersi samowiednie, bez udziału woli... są one wyrazem prawdziwego uczucia.

W a n d a (z ironią). Widzę, że pan jest nastrojony bardzo sentymentalnie.

K a r o l. Jeżeli pani nazywa to sentymentem, w takim razie sentyment ten nie daje mi spokoju, domaga się słów, konkretnej formy.

W a n d a. (żartobliwie) Ależ mów pan, panie poruczniku, proszę! Czekam na słowa!

K a r o l (deklamuje z przesadą) Na słowa?... Czy pani weszła kiedy w położenie człowieka, który miotany losem, nie może skłonić głowy przy ognisku domowym, człowieka, który zależy od kaprysu przypadku, od ślepego rozkazu. Dziś w salonie, jutro w okopach, dziś miłość, jutro śmierć! Oto jest dola żołnierza. Żadnej ostoi,

żadnej przystani na rozhukanem morzu życia...
Nie! Pani sobie tego nie może wyobrazić..

W a n d a (z przekonaniem). Mylisz się poruczniku. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę i współczuję ci głęboko.

K a r o l (z patosem). Dzięki ci, o pani za te słowa! (na stronie) oho dobrze idzie! (głośno): Zdaje mi się, że jesteś pani aniołem, bóstwem. Gdybym był poetą, stworzyłbym pieśń, jakiej ludzkość nie słyszała... Na nieszczęście, jestem tylko — porucznikiem, ty zaś — młodą, piękną i... wolną kobietą...

W a n d a (przerywa mu) Ale to nie ma nic wspólnego z tem, o czem mówimy.

K a r o l (jak wyżej) Właśnie, pani, jest w tem dużo wspólnego! (na stronie) Do diabła, trzeba raz zaryzykować! Może się uda!... (głośno) Pani Wando, od chwili, gdy zawitałem do waszego miasta, od chwili, gdy znalazłem w twym domu zamiast zwykłej kwatery oficerskiej — ciepłe gniazdko, stworzone jakgdyby dla miłości — od tej chwili... (Wanda spuszcza oczy) ...poprostu, że tak powiem, że się tak wyrażę... od tej chwili.. mówiąc logicznie, a o to mi przedewszystkiem chodzi... tak, tak... o to mi chodzi... no pani się domyśla... od tej chwili... kocham panią!... (chwila milczenia).

W a n d a (chwilę milczy, później mówi wolno) Widzi pan, kobiety mają dziwny dar przeczuwa-

nia... uczeni nazwali to — intuicyą... tak — intuicyą... Ja to już dawno przeczuwałam.

Karol (podchodzi do niej i całuje ją w rękę)
Pani Wando!...

Wanda. Panie Karolu!... (Karol całuje ją w obie ręce).

(Chwila milczenia. Wbiega Kasia, Karol odskakuje na bok, Wanda udaje, że szuka czegoś na stoliku).

SCENA 4.

Ciż sami i Kasia.

Wanda (podniesionym głosem) Mówiłam ci Kasiu tyle razy, abyś nie wchodziła do salonu, gdy goście są w domu i gdy na ciebie nie dzwonią!

Kasia (tłómaczy się) Bo proszę pani, zapomniałam ścierki od kurzu!

Wanda (rozkazująco) Bierz ścierkę i idź sobie! (po namyśle) Albo nie! Skończ porządki w saloniku, my zaś przejdziemy do stołowego pokoju. (do Karola) Chodźmy! (Wanda i Karol wychodzą).

SCENA 5.

Kasia (sama).

Kasia. Śliczny chłopiec ten Janek! Jaki mundur? Co za ostrogi? A przytem szlachetny człowiek. Mówi, że będzie tylko na jednym froncie, nie chce dwóch srok za ogon trzymać. A i pan

porucznik niczego; wysoki, jak generał, tylko, że to już nie to, co Janek. Pan porucznik dziś z tą, jutro z tamtą. Żeby nie Janek, myślałabym, że oni wszyscy tacy! (wchodzi Karol, Kasia ściera kurze).

SCENA 6.

Kasia, Karol.

Karol (śpiesznie) Kasiu, nie zostawiłem tu czapki? (na stronie) Ta też niezła! Co za linia, jaki biust?

Kasia. Jest, panie poruczniku, leżała na fotelu (podaje mu czapkę).

Karol (bierze czapkę) Aha, jest. Dziękuję ci, dziękuję! (na stronie) Nie wiem, która z nich lepsza (przygląda się uważnie Kasi) Hm. hm... Prawda Kasiu, ty — ścierasz kurze?

Kasia (spokojnie) Tak, panie poruczniku!

Karol. Tak, tak! no to dobrze. Ścieranie kurzów zawsze jest potrzebne, zwłaszcza... gdy meble są zakurzone. Prawda Kasiu? (Kasia potakuje głową). Ale, jak widzę, nie możesz sobie dać jakoś rady!

Kasia (jak wyżej) E, nie, panie poruczniku!

Karol. O, tylko tego nie mów! Patrz, (dotyka palcem poręczy krzesła). Kurzu na cały palec! Oj kiepska z ciebie gosposia!

Kasia (zadąsana) Pan porucznik to tak namyśliłnie!

Karol. Ależ, cóż znowu? wcale nie, moja

Kasiu. Mówię zupełnie seryo. (podnosi palec do oczu). Zupełnie, jakby od roku było nieścierane!

Kasia. Gdzietam, wczoraj robiłam porządku.

Karol. No tak, tak. Ale co wczoraj, to nie dzisiaj, w każdym bądź razie... no tak, tak... to zupełnie naturalne! Przez noc się nakurzyło. Ale jak to się mogło przez noc nakurzyć?... W nocy nikt nie chodzi, ludzie przecież śpią. Prawda Kasiu?

Kasia. Śpią, panie poruczniku!

Karol (po chwilowem milczeniu). Chyba, że kto nie może usnąć... Ale wtedy trzeba liczyć do 100 i zaraz sen przyjdzie. Próbowalaś tego kiedy Kasiu?

Kasia. Nie, panie poruczniku?

Karol (z przekonaniem). Koniecznie trzeba liczyć do 100, a jeżeli to nie pomoże — trzeba zacząć od początku. To jest jedyny, niezawodny sposób... Nigdy innych nie używał... A czasami nie mogę usnąć, kiedy o czymś bardzo myślę. Naprzykład wczoraj; myślę sobie: jaka jest ta Kasia? Czy też ona kochała się kiedy?

Kasia (wesoło). Skąd panu takie myśli do głowy przychodzą?

Karol. Ba! Skąd one przychodzą? Żebym ja to wiedział!

Kasia. I dlaczego pan porucznik o kim innym nie myśli?

Karol. Mówię ci, że nie wiem... I myślę sobie dalej; czy też ona ma już narzeczonego? (sposstrzega pierścioneł u Kasi) O! pewno ma,

i ten pierścionek — pewno zaręczynowy (podchodzi do Kasi, pokazując na pierścionek).

Kasia. Pan porucznik domyślny bardzo. Więc powiem, że naprawdę zaręczynowy!

Karol. A widzisz Kasiu, miałem rację. ja zawsze mówię tylko prawdę i można mi śmiało wierzyć. Ale ciekawym od kogoś dostała ten ładny pierścionek.

Kasia. Niech pan zgadnie!

Karol. Więc dobrze... (z udaną powagą). Ten pierścionek dostałaś od jakiegoś chłopca!...

Kasia. (śmiejąc się) Ale od jakiego?

Karol. To mi już ty powiesz!

Kasia. Kiedy się boję, żeby pan porucznik się nie gniewał.

Karol. Skądże jabym mógł się na ciebie gniewać? Za co?... Możesz mówić śmiało!

Kasia. Już powiem panu; ale pod sekretem. O tem będą wiedzieć tylko: moja pani, pan porucznik, ja, no i... pan Jan!

Karol. Jaki pan Jan?

Kasia (z dumą) Mój narzeczony, ordynans pana porucznika!

Karol (gwałtownie) Kto? Jaś?... (na stronie) A to bałwan! (głośno) Więc to Jaś? (na stronie) On... mnie będzie w drogę wchodził... (głośno) No, no... Kasiu! Dobregoś sobie wybrała, przystojny chłopiec, niczego sobie!

Kasia (żywo) A przedewszystkiem honorowy człowiek, panie poruczniku.

Karol. Tak, tak — honorowy... tylko będziesz miała z nim kłopot, moja Kasiu!

Kasia (zaniepokojona) Jaki kłopot?

Karol. Bo to widzisz — dobry chłopiec, uczciwy, tylko... kobieciarz wielki. Dziś — ta, jutro — tamta! Oj nie uchronisz go sobie!

Kasia (z płaczem) Tak? To on taki? O ja nieszczęśliwa! Cóżem mu zawiniła... (z gniewem) A niegodziwiec, a kłamca!

Karol (uspakaja ją) Nie płacz Kasiu, niema co żałować!... Znajdziesz sobie innego!

Kasia. E, panie poruczniku, wszyscy mężczyźni są tacy!

Karol. Co też ty mówisz? Są inni! Znajdziesz napewno. Tylko trzeba poszukać. Weź na przykład mnie... ja...

Kasia. Żadnemu już teraz wierzyć nie będę, choćby się przysięgał. Oddam mu zaraz pierścionek! (chce zdjąć pierścionek).

Karol. Widzisz, Kasiu, trzeba być z tem bardzo ostrożną... Co? nie możesz zdjąć pierścionka? Czekaaj, pomogę ci (lewą ręką bierze ją za rękę, prawą obejmuje Kasię i chce ją pocałować).

Kasia (stara mu się wyrwać). Co też pan robi?...

Karol (trzyma Kasię wpół, całuje ją. W trakcie tego we drzwiach ukazuje się Wanda). Już, już Kasiu, schodzi... zaraz go zdejmujemy!

SCENA 7.

Cią sami. Wanda.

W a n d a (we drzwiach). Co za scena?... Pan Karol?...

K a r o l (puszcza Kasię, zmieszany). Nie... to nic... Zdejmowaliśmy Kasi pierścioneł zaręczynowy... bo... to... łaskawa pani... ten Jaś, chociaż mój ordynans... kobieciarz wielki: Dziś — z tą, jutro — z tamtą. O tak, ona byłaby z nim nieszczęśliwa!... Tak nie można... uczciwa dziewczyna...

W a n d a (przerywa mu). Panie Karolu! To, co tu widziałam mówi mi zupełnie co innego!

K a r o l (szybko, nieco pewniej). Nie, nie łaskawa pani! Zmysły zawodzą często człowieka. Nawet wzrok, to okno naszej duszy tworzy niekiedy fałszywe obrazy... z tem trzeba być bardzo ostrożnie...

W a n d a (z oburzeniem). To wprost czelność; I pan śmie się jeszcze tłumaczyć! (do Kasi) Wyjdź natychmiast! (Kasia wychodzi).

SCENA 8.

Karol, Wanda.

W a n d a (jak wyżej) ...Po tem wszystkim, co pan mówił: to niegodziwe, nawet podłe!

K a r o l (na stronie) Wszystko stracone. trzeba się przyznać! (głośno) Widzi łaskawa pani, chwila podniecenia... nastrój...

W a n d a (ironicznie) W takim razie pan porucznik będzie łaskaw szukać sobie nastrojów poza moim domem. Jesteśmy już dla siebie ludźmi obcymi! (wychodzi).

SCENA 9.

Karol (sam).

K a r o l (z refleksją). Niema co, ładna historia!... I to ja? ja? któremu nigdy coś podobnego się nie zdarzyło... Dyabli nadali, że ta baba weszła akurat w chwili... (po namyśle) ...To jednak z mojej strony było głupio urządzone... No trudno... Przegrałem na obu frontach!...

(KURTYNA SPADA).

Kiedy będzie koniec wojny?

Dyrektor jednego z galicyjskich towarzystw akcyjnych, ojciec 7-letniego Władzia, był dumny ze sprytu i mądrości swego jedynaka. Pewnego razu podczas zebrania towarzyskiego u dyrektora jednego z galicyjskich towarzystw akcyjnych ktoś z obecnych zapytał żartem małego Władzia:

— No, czy ty wiesz może, jak stoją teraz 100-koronowe akcyje fabryki twego tatusia?

— Oczywiście! — odparł bez namysłu chłopiec. — Kurs akcyi wynosi dzisiaj 90 koron!

— Doskonale, a czy ty wiesz, po czemu są dzisiaj kartofle? — zapytał drugi pan.

— Naturalnie... Korzec kartofli kosztuje 10 koron!

— Ależ wyśmienicie! — zawołali jednogłośnie zachwyceni panowie.

— To ty pewno musisz też wiedzieć, kiedy będzie koniec wojny?

— Ma się rozumieć, że wiem! Koniec wojny będzie wtedy, gdy korzec kartofli będzie kosztować 90 koron, a za akcyję fabryki mego tatusia będą płacili... 10 koron.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-830 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42



F

957